Nr. 7. Poznań, dnia 17 Lutego 1907 r. Rok XI.

PRACA

Abonament wynosi kwartalnie: na poczcie. . . 1,50 z odnoszeniem do domu . . 1,62 pod opaską . . 2,75

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 39. Telefon Nr. 1465.
Ogłoszenia: od wiersza drobnego 30 fen

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Bez oręża i bez broni!.

Bez oręża i bez broni
Broni Polskę naród, broni..
Broni naród bez oręża,
Trwa we walce i zwycięża.

Bez pałasza i bez broni,
Bez broczenia krwią swej dłoni,
Naród wroga pokonywa,
Wschodzi chwila mu szczęśliwa!

Bez oręża i bez broni
Wypływa y z nieszczęść toni.
Obudziliśmy miliony,
Będzie naród odrodzony,

Bez kul, armat i bez broni..
Pieśń zwycięstwa wśród chat dzwoni
Lud oświatą zwalcza wroga,
W naszej sile nowa droga.

Bez oręża i bez broni
Lud od śmierci kraj osłoni;
Tylko siejmy wiedzy ziarna,
Niech się wzmaga moc ofiarna.

Bo z posiewu ziarn oświaty
Duch się budzi w pośród chaty...
Lud się broni i zwycięża
Choć bez broni i oręża!

Iskra.

Od roku 1903 do 1907.

Wybory się skończyły. Wprowadziliśmy dnia 13 b. m. ostatniego posła p. mec. Władysława Seydę z Poznania z okręgu wrzesińsko-jarocińsko-pleszewskiego do parlamentu.

Niejeden teraz z zadowoleniem zatrze ręce: chwala Bogu, że to się już skończyło.

Swoje rogi patryotyczne, którymi podczas wyborów wypychał Niemców z parlamentu, schowa jak ślimak do skorupy, bo zdaje mu się, że dokonał niezwykłego dzieła. Chce mu się wypocząć na wawrzynach.

Ile to jeszcze będzie gawęd hucznych i głośnych, ile przechwałek że aż 20 posłów mamy!

Czy istotnie to koniec naszego zadania, to koniec pracy naszej? Czy na tem tylko polega czynny nasz patryotyzm, że hurmem idziemy do urny wyborczej?

Nie! Wybory są tylko jednym z naszych obowiązków obywatelskich — koniec wyborów nie oznacza spełnionego całego zadania, to cząstka tylko tego, czego jako obywatele, jako Polacy, jako uświadomieni patryoci dokonywać powinniśmy.

Czas teraz na to, żeby sobie przypomnieć, co nam do czynienia pozostaje. A jest to taki ogrom pracy, zadania mnożą się z biegiem czasu tak bardzo, że tylko wspólną pracą wszystkich dokonać jej możemy.

Bądźmy dla siebie szczerymi i otwartymi.

Okręgi: szamotulsko-obornicki — szubińsko-wyrzyski są zagrożone. Do zdobycia mamy okręgi: *bydgoski* w W. Ks. Poznańskim, *toruńsko-wąbrzesko-chełmiński* i *grudziądzko-brodnicki* w Prusach Zachodnich, *kozielsko-strzelecki, raciborski i kluczborski* na Górnym Śląsku. Pracy więc dość — na sen na laurach czasu niema.

Ale i to nie koniec. Ostatnie wybory dały nam wiele do myślenia, a szczególnie, gdy zrobimy na nie rzut oka z punktu widzenia politycznego, rozwoju *politycznej myśli* wśród społeczeństwa naszego. Rzut ten będzie tem zupełniejszy, gdy się cofniemy do r. 1903.

Musimy jednakże rzut ten poprzedzić jedną uwagą ogólną.

Podaliśmy w ostatnim numerze „Pracy" głos jednego z poważnych, choć nam nieprzychylnych organów opinii niemieckiej. Głos ten streszczamy w tem zdaniu: źle jest, gdy społeczeństwo rozdrabnia się na zbyt wiele partyi — gorzej atoli, gdy partyi w społeczeństwie niema wogóle.

Zdanie to można w zupełności zastosować do społeczeństwa naszego. *U nas niema partyi.* To jest przyczyną tego, że w czasie wyborów nie *przekonania polityczne* wyborców odgrywają rolę — ale przypadkowe wypadki.

Dowody. Strajk szkolny w społeczeństwie naszem na pierwszy plan wysunął duchowieństwo — księży. Skutek był ten, że w czasie wyborów zebrania powiatowe z małymi wyjątkami — księży stawiały na kandydatów na posłów. Zdawało się, jakoby społeczeństwo samych nieomal księży chciało wysłać jako swoich przedstawicieli do Berlina.

Musimy się zastrzedz, jakobyśmy pisali to z jakiegokolwiek do księży przeciwieństwa. Nie, nam chodzi o to, ażeby wykazać, że na wybory u nas nie wewnętrzne, stałe polityczne przekonania wyborców wpływają — ale przypadkowa sytuacya, wywołana chwilowemi wypadkami.

Brak nam przekonań politycznych, bo brak nam partyi politycznych.

A jak było w r. 1903?

W r. 1903 wybory z punktu widzenia przekonań politycznych zupełnie były inne.

Walczyły wówczas ze sobą dwa obozy polityczne o wyraźnych odmien-

nych politycznych poglądach i przekonaniach.

Z jednej strony stał obóz *konserwatywno-szlachecki,* większa część szlachty, duchowieństwa i świeckiej inteligencyi — z drugiej strony *obóz ludowy,* składający się z garstki t. zw. szlachty postępowej, z garstką cichych zwolenników wśród młodego duchowieństwa, trochę świeckiej inteligencyi, z całą masą uświadomionego mieszczaństwa i ludu.

Walka była ostra, a wynik jej ten, że w obozie konserwatywnym uczyniony został znaczny wyłom.

Skutkiem tej ostrej walki ugodowe przekonania obozu konserwatywnego w naszej ogólnej opinii politycznej zostały przełamane. Ugodowcy swej ugody poczynają się wypierać i wstydzić. Nie został atoli przełamany wpływ obozu konserwatywnego.

Objawiło się to dowodnie na powiatowych zebraniach walnych przy wyborze delegatów. „Orędownik", który w obozie ludowym dzierżył niezaprzeczone przodownictwo, wydał hasło: nie wybierania delegatami, którzy według ustroju naszej organizacyi wyborczej w ostatniej i najwyższej instancyi decydują o wyborze kandydatów poselskich, — księży. Hasło to miało skutek wręcz przeciwny. Liczba *księży-delegatów* znacznie wzrosła.

Na tem skończyła się akcya polityczna z r. 1903. Nastąpiły wypadki, które całą uwagę naszą skupiły na grożące nam niebezpieczeństwo germanizacyi i na szukanie środków obronnych. Przypomnimy tylko nowelę osadniczą — prześladowanie przez sfery polityczne naszego życia towarzyskiego szczególnie „Sokołów" — wreszcie założenie „Straży".

Uwaga polityczna zwróciła się od zagadnień natury politycznej, ażeby skupić się wokoło spraw narodowych. Wystarczało nam, że posłowie nasi, wykazując w izbach poselskich krzywdy nasze, w mowach swoich przybrali t. zw. *„ostrzejszy ton"*. Nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że ostrzejszy ton w polityce — nie jest wcale polityką samą.

Czy tak ma pozostać nadal, czy *wystarczy* nam ten „ostrzejszy ton" w polityce zamiast polityki samej?

Pytanie to winniśmy zbadać jak najsumienniej. Winniśmy sobie zdać sprawę, mianowicie z tego, czy traktowanie wszystkich naszych spraw z punktu widzenia obrony narodowej, narodowych krzywd — nie sprowadzi poziomu naszej politycznej oświaty, naszych politycznych dążności i aspiracyi do ciasnego szablonu, w którym niema miejsca dla zagadnień politycznych z uwzględnieniem naszej politycznej przyszłości.

Dziś, kiedy społeczeństwo nasze zdobyło się na akcyę strajkową w sprawie szkolnej, na poniesienie bądź co bądź nadzwyczajnych ofiar w obronie naszej polskości — zdaje się, że nic i nikt narodowości naszej pozbawić nas nie zdoła.

Ale ten wrogi ucisk groźny z jednej strony, niezadowolenie i rozgoryczenie z naszej strony, czy to nie musi budzić poważnych po naszej stronie refleksyi na temat: jaka będzie *nasza przyszłość?* — jak my sobie tę przyszłość naszą *wyobrażamy?* — czy nie sięgamy naszemi życzeniami poza samo ustanie ucisku, a nastanie t. zw. *„lepszych czasów"*, o których tak często się mówi i pisze?...

Z tych wszystkich pytań, które tutaj zestawiliśmy, wynika, że nasze rozumowanie polityczne nie może się kończyć na pytaniu: jak się mamy od wynarodowienia tylko bronić?

Szereg zagadnień politycznych w każdym żywotnim narodzie, w każdym żywotnim odłamie choćby niesamodzielnego narodu — a przecież my jesteśmy bardzo żywotnią częścią polskiego narodu — jest nieskończony.

Pozostać Polakami chcemy wszyscy — ale nie wszyscy jesteśmy jednego zdania: jak mamy jako Polacy *żyć* w przyszłości. Zdania te tem więcej będą różniły się między sobą, jeżeli zechcemy pytać się o środki, o sposoby, o drogi, jakie mają nas do tej przyszłości zaprowadzić.

Ta różnica poglądów rozdzieli społeczeństwo na różne obozy. Wymiana poglądów pomiędzy tymi obozami przyczyni się do pogłębienia naszej politycznej myśli, do rozszerzenia dążności i aspiracyi politycznych.

Potrzeby politycznej myśli w społeczeństwie naszem zapewne nie będzie nikt zaprzeczał. Trzeba się w takim razie zgodzić na potrzebę różnych obozów, różnych stronnictw politycznych.

Istotnie położenie nasze siłą faktów domaga się stworzenia jakiegoś stronnictwa, któreby wskazywało społeczeństwu przyszłość i drogi do niej. Stronnictwo musi być z natury rzeczy demokratyczne, ludowe i postępowe — a nadewszystko narodowe, narodowe w zrozumieniu nie tylko obrony narodowej, ale i narodowej przyszłości.

Mamy nadzieję, że wszyscy, którzy rozumieją naszą obecną sytuacyę, którzy nie zaprzeczają jej dodatnich stron — ale widzą i ujemne — konieczny z tej sytuacyi wysnują wniosek i przemienią go w jak najbliższej przyszłości w czyn.

Czytelników naszych prosimy, by o sprawie, którą powyżej poruszamy, poważnie pomyśleli. Będziemy im bardzo wdzięczni, gdy ze swojem w tej mierze zapatrywaniem zechcą się z nami podzielić.

Z niwy muzycznej.

Jeżeli czytelnika zajmujemy sprawami muzycznemi, to dla tego głównie, iż w naszej dobie obecnej główna to duchowa rozrywka, na jaką sobie pozwolić możemy zwłaszcza tu w Poznaniu, gdzie wprawdzie dość dużo muzyki, ale dość daleko od prawdziwej muzyki.

Zapowiedziany od dawna piątkowy koncert panny *Mukułowskiej* o dość egzotycznem imieniu *Lili*, coby po naszemu znaczyć mogło tak samo Ludwikę, jak również Emilię lub Lilianę, ściągnął na salę bazarową i publiczność karnawałową, i sam wybitnie karnawałowy miał też charakter. Mamy tu na myśli ułożenie programu koncertantki, która mimo poważnego *Bacha* i *Beethovena* chciała słuchaczom dać urozmaicenie, ucztę lekko strawną, potrawy dość znane, „hors d'oeuvre i sufleciki", które na poważnej biesiadzie co prawda są zbytecznemi. Bo pośmiertnie wydany mazurek Chopinowski A moll, jak i Romansa Schumanna, a zwłaszcza Barcarola Rubinsteina, jakkolwiek wszystkie utwory śpiewne i łatwe do pochwycenia dla nie melomanów nawet, nadają się raczej na łaskawe naddatki, lecz w programie samym rażą niejednolitością, tam zwłaszcza, gdzie chodzi o scharakteryzowanie wirtuozki, po raz pierwszy dziś słyszeć się dającej. Kładąc to jednak na karb jednania sobie i „szerszej publiczności", to jest nieznawców muzyki, przechodzimy do oceny samego wykonania.

Praeludium i fuga Bacha w opracowaniu *Liszta* wypadły należycie przejrzysto, tematy wychodziły jasno i okrągło, zalety utworu uwydatnione zostały w całej pełni. *Beethovena sonata Cis moll (Księżycowa)* niestety zawiodła w kilku szczegółach dość ważnych: początek adagia stanowczo był za silny, pedały pracowały zajadle, przeciągle, a w kilku końcowych akordach były nawet dysonanse, wogóle całość zdradziła pewien niepokój, czy wyjątkową niedyspozycyę, roztargnienie chwilowe czy brak nastroju, dość że wykonanie sonaty wiele pozostawiło do życzenia. Najlepszemi numerami wieczoru było *Preludium Rachmaninaffa* i *Etuda (des dur) Liszta,* choć byśmy tej ostatniej nigdy nie zalecali na zakończenie koncertu. Skoro

Listy z Warszawy.*)

(*Partye i bezpartyjni*).

Złe wieści. Wewnętrzna walka wyborcza wre i kipi. Jesteśmy jak na wulkanie. Stronnictwa zioną na siebie ogniem nienawiści. A co najwstrętniejsze — to że część społeczeństwa, zorganizowana w stronnictwa i wichrząca w niesłychany sposób, jest maleńką, znikomą cząsteczką ogółu bezpartyjnych, który nie chce wewnętrznej politycznej walki, lecz kulturalnej, zgodnej pracy.

Jest to okropnem, że opinia publiczna u nas jest jak człowiek z zawiązanemi oczyma, który nie chce iść na złą drogę, ale go ciągną za rękaw źli ludzie.

Ogół, żądny spokoju, sądził, że gwarancyą spokoju będzie „koncentracya.“ Lecz pokazało się, że tak zwana „koncentracya stronnictw narodowych,“ t. j. porozumienie się ich w celu przeprowadzenia wyborów pod hasłem utworzonego wspólnie „Centralnego komitetu wyborczego,“ nader dziwne wydało owoce. Ogół spodziewał się, że nastąpi zgoda i porozumienie się, a tymczasem wre walka. I to nietylko pomiędzy „Komitetem Centralnym“ a jego współzawodnikiem żydowsko-postępowo-demokratycznym, ale pomiędzy stronnictwami, które utworzyły do wspólki „Komitet Centralny.“

Równolegle z wymianą politycznej „niegrzeczności“ pomiędzy „Słowem“ a „Gazetą Polską“ odbywa się wymiana politycznych „brutalności“ na łamach dwóch innych organów koncentracyi: z jednej strony „*Gońcem,*“ a z drugiej strony „Kuryerem Polskim.“

Jakby chcąc udowodnić twierdzenie „Gazety Polskiej,“ że nie na wszystkie osobistości wśród ugodowców obóz narodowy zgodzić się może, „*Goniec*“ nie owijając w bawełnę wymienił wręcz z nazwiska odnośne osoby z obozu realistów, zaopatrując je niezbyt pochlebnymi epitetami.

Na to w „*Kuryerze Polskim*“ p. Straszewicz odpowiedział w tonie gwałtownym.

„Co będzie, gdy kiedyś ktoś zdemaskuje was i wykaże, żeście zwyczajne szulery polityczne, grające fałszywemi kartami. A to przecie was nie minie!“

Takim tonem przemawiają oto do siebie filary koncentracyi narodowej i Komitetu Centralnego!

W takim tonie toczy się dyskusya pomiędzy stronnictwami, które związały się w szumnie nazwany „Komitet Centralny!“ Można było przewidywać, że jeśli partye ujmą w swe ręce ster wyborów, to z tej mąki chleba nie będzie, bo partyom chodzić zawsze będzie o zagarnięcie największej liczby mandatów, nie zaś o dobro społeczne.

I w wyborach u nas dotychczas nie będzie ładu, dopóki ogół nie przebudzi się i nie stworzy bezpartyjnej organizacyi wyborczej, opartej nie na nominacyi stronnictw, lecz na wybranych przez ogół komitetach wyborczych. Obecna organizacya „Centralnego Komitetu Wyborczego“ zupełnie zawiodła.

Jakby klątwa jakaś zaciężyła na tej instytucyi i powstrzymała jej rozwój w pół drogi.

Znamy tę klątwę. Ciąży ona i ciężyć będzie zawsze nad każdem pogwałceniem jego testamentu, który upadająca Polska na naukę przyszłych pokoleń zostawiła: *Partyjność zgubiła Polskę* — tak brzmi ten testament. — i klątwa partyjności legła swym ciężarem na istnieniu t. zw. Centralnego Komitetu Wyborczego.

Na zebraniu przedwyborczem w Nowo Mińsku, tem samem, które powzięło rozumną uchwałę, aby Komitety Wyborcze nie pochodziły z wyboru partyi, lecz z woli ogółu, — zakończył swe przemówienie jeden z mówców włościan okrzykiem:

My nie chcemy partyi! precz z partyami!

Głos ten jest prawdziwym wyrazem tych zapatrywań, tych dążeń, które lud nasz nosi głęboko w sercu. Tkwi w nim naturalny wstręt i uzasadniona nieufność do roboty partyjnej. Oczekuje on na tę błogą chwilę, gdy rozpocznie się prawdziwa praca dla sprawy, a sił w nim tkwi tyle i chęci tyle, jak w żadnym innym ludzie. My, publicyści, wiemy coś o tem. My wiemy, ile gorących chęci służenia sprawie tkwi w sercach najszerszych warstw, bo świadectwem tego są codziennie dziesiątki listów, tchnących gorącem ukochaniem idei narodowej, żądzą pracy....

Ale widzimy również na jaki grunt padają te zdrowe ziarna: na grunt,

*) List ten umieszczamy, pomimo że na zasadnicze założenie jego nie zupełnie się godzimy. Nie znamy stósunków w Król. Polskiem do tyla, ażebyśmy ztąd pokuszać się chcieli o doraźny sąd, czy w Król. Polskiem wszystkie partye, tak jak to przedstawia p. Dr. Kazimierz Rakowski — zeszły na bezdroża. Jeżeli tak jest, to złe tkwi w **zacietrzewieniu i zaślepieniu** partyi — a nie w partyach samych. — Czytelnicy nasi niech list p. Dr. Rakowskiego porównają z naszym artykułem „od r. 1903 — 1907“. Przy spokojnym namyśle — mamy nadzieję, że będą umieli rozsądzić co jest lepsze; czy zupełna bezpartyjność, czy ugrupowanie stronnictw w myśl naszego artykułu. — Zaślepienie i zacietrzewienie partyjne i my również uważamy za złe.

Redakcya

---

się już cały wieczór słucha fortepianu wyłącznie, to i na sam koniec łaknie się więcej albo brawury, albo błyskotliwości, albo też wreszcie czegoś bardziej „swojego“ — nasz wirtuoz fortepianowy, mający usposobienie polskie, kończąc podbija słuchacza jeżeli już nie jaką waryacyą Tausego na temat z „Halki“, to jakimś szopinowskim polonezem, a choćby wreszcie i skromniejszym Moniuszkowskim. To też mimo hucznych oklasków — nie było między pianistką a słuchaczami tego *prawdziwego* czucia, brakło ciepła i łączności duchowej.

Przykro nam też bardzo, że nie możemy godzić się na sposób interpretowania Chopina; mimo wzorowego frazowania i pewnej siebie a zaokrąglonej elegancyi wykonania, całość wypadła blado — przyznajemy ze wszystkich wirtuozów uchodzących za uczniów Leszetyckiego, panna Mukułowska zdradziła tym razem najmniej prawdziwego przeniknięcia duszy szopenowskiej.

Jeżeli szczerze wykazaliśmy artystce to czego jej niedostaje na razie, to niemniej sprawiedliwie podkreślić nam należy jej zalety i to pierwszorzędne: panna Mukułowska gra pewno, posiadła już siłę uderzania pokaźną, odczuwa i rozumie na ogół twórcę, którego odtwarza — ma zapał do sztuki — a to już jak na początek zawodu artystycznego i dorobek istotny i zadatek na przyszłość. To też życzymy jej ze serca, aby „gradus ad parnassum“ dosięgła tych wyżyn, do których zmierza — pracą a wytrwałością osięgnąć je może — chociaż pierwszy jej koncert u nas miał — szczerze mówiąc — raczej charakter dyletancki. — Nie wina to może tyle artystyki samej, ile może tych doradzców, którzy wpływali na układ programu.

Cóż powiedzieć o publiczności? Wśród tej niestety panował duch karnawałowy — więcej uwagi od gry artystki pochłaniały toalety, ładne buzie, kosze kwiatów i gawędy u drzwi wchodowych, które niestety zanadto gościnnie wpuszczały rozmaitych maroderów; tak sobie iście po poznańsku — bo wcale nie po europejsku. — Niestety uszanowania dla sztuki a poszanowania ogólnych zasad w świecie muzycznym przyjętych w naszej „Beocyi“ ciągle jeszcze za mało! *hr.*

przesycony partyjnością, na rolę, która tylko dzikim chwastom stronniczych tendencyi daje przytułek.

I marnują się napróżno najlepsze chęci, zniechęcają się najlepsze usiłowania, natrafiając wszędzie na klątwę partyjności, która w złe zamienia to co jest dobre i szlachetne.

* * *

„My nie chcemy partyi! Precz z partyami!“ Tak przemówił prosty wyborca, trafnym wiedziony instynktem.

Lecz niestety, arenę naszej polityki wzięły w dzierżawę sobie partye i oddać jej nie chcą. Opinia publiczna, niezorganizowana, niewyklarowana należycie, nie ma sił do wyzwolenia się z więzów... Więc po staremu wre wir partyjnego handlu mandatami — a wśród wspólników jeden drugiemu wydziera zdobycze, jeden drugiego mianuje oszustem. A o sprawie, o sprawie kto myśli?

Smutne, przykre myśli cisną się chmarą do głowy. Wybory, które dla naszych braci w zaborze pruskim są prawdziwie świętem narodowem, szkołą uświadomienia politycznego, okresem zbierania plonów i zasiewania zdrowego ziarna, u nas znowu powtórnie przerodziły się w szkołę demoralizacyi politycznej. Zawisła nad nimi znów klątwa partyjności. A klątwa ta dziedzictwem spada z jednego czynu na drugi.

Nie ogół, lecz partye zrodziły dla swej potrzeby Komitet Centralny. Nad wszystkiem, co on czynił, ciężyła klątwa partyjności i klątwa ta zdala już rzuca ciemną smugę cienia na charakter naszej reprezentacyi poselskiej. Pojadą znowu posłowie nad Newę: — czy jako wybrańcy ogółu? Nie, oni pojadą jako pełnomocnicy kontraktu wyborczego zawartego przez partye. Wezną mandaty z rąk Centralnego Komitetu, który sam od społeczeństwa mandatu nie posiada...

I płakać się chce na myśl samą, że ta klątwa partyjności ścigać ich będzie na każdym kroku, w każdej sytuacyi, wieczną tworząc przegrodę pomiędzy nimi a ogółem....

Kazimierz Rakowski.

Listy lwowskie.

Lwów, 10-go Lutego 1907.

(Zjazd stronnictwa demokratyczno-narodowego; Towarzystwo ludoznawcze; echa najazdu młodzieży hajdamackiej na uniwersytet; nowiny przedwyborcze; Sejm; Leon Laszkiewicz).

W pierwszych dniach b. m. odbył się we Lwowie zjazd delegatów i mężów zaufania stronnictwa demokratyczno-narodowego, które wśród społeczeństwa zyskuje coraz większe wzięcie, znaczenie i wpływ. Obrady obejmowały sprawozdanie komitetu głównego, sprawę reformy wyborczej do Sejmu, reformy administracyjne i ekonomiczne. Projektowano reformę wyborczą do Sejmu, w ten sposób, że dwie trzecie Sejmu wychodzi z powszechnego, równego, tajnego bezpośredniego głosowania, jedną zaś trzecią wybierają mający wyższy cenzus podatkowy i inteligencyi. Reformy w sprawie autonomii kraju dążą do corocznego zwoływania Sejmu, ustalenia trwania sesyi sejmowych, przyznania Sejmowi prawa kontrolowania władz administracyjnych, pociągania namiestnika do odpowiedzialności, rozszerzenia kompetencyi Rady Szkolnej krajowej. Odnośnie do reform administracyjnych uchwalono żądać połączenia obszarów dworskich z gminnemi, zmniejszenia obecnych powiatów politycznych do obszaru powiatów sądowych, a za to utworzenia większych okręgów obwodowych, przy których byłyby (zamiast dzisiejszych rad powiatowych) sejmiki obwodowe. W sprawie rolnej obradowano nad parcelacyą, żądano utworzenia krajowego kredytu parcelacyjnego, ochrony wychodźców, oddania biur pośrednictwa pracy pod zarząd kraju, zniesienia ustawy łowieckiej. Omawiano również taktykę wyborczą. Do komitetu głównego w miejsce wylosowanych wybrano prof. Stanisława Głąbińskiego, dr. Stan. Grabskiego, dr. Zdzisława Próchnickiego, włościanina Tomasza Mrozka, dra. Al. Skarbka, dra. Tadeusza Tertila.

6. b. m. odbyło się walne zebranie Towarzystwa Ludoznawczego. Założone w r. 1895 po zjeździe literatów i dziennikarzy polskich powzięło sobie

Z teatru.

Treść „Pięknej Marsylianki“ Bertona granej podczas ostatniej soboty w teatrze polskim jest krótka: spisek na życie Napoleona I., zamach na jego życie — nieudany.

„Piękna Marsylianka“ odgrywa rolę niewinnej w spisek ten wciągniętej ofiary. Nie wie o spisku, a jednak około niej skupia się koło tych, którzy grożą Napoleonowi — sama w końcu niweczy niecny zamiar zgładzenia go ze świata.

Poznajemy „piękną Marsyliankę“ jako żonę jednego ze spiskowców. Margrabia de Tallemond przemienił się w spokojnego na pozór właściciela restauracyi. Dał jej miano „pod piękną Marsylianką“, składając w ten sposób niejako hołd piękności swojej żony.

Żona jego, margrabina de Tallemond — ona właśnie jest ową „piękną Marsylianką“.

W restauracyi Tallemonda, który przezywa się Cossatem gotuje się spisek. U Cossata mieszka jeden z najszczerszych przyjaciół Napoleona, pułkownik Crisenoy. Spiskowcy przygotowali zamach w ten sposób, że na powóz przejeżdżającego przez ulicę Napoleona najechać miał powóz wieziony przez jednego z wtajemniczonych celem wstrzymania Napoleona. W tej chwili miała wybuchnąć przygotowana „piekielna maszyna“.

W otoczeniu Napoleona miał się znajdować Crisenoy. Cossat chce go powstrzymać na czas zamachu w swoim domu i daje odpowiednie zlecenie swojej żonie.

„Piękna Marsylianka“ kocha Crisenoya i zatrzymuje go przy sobie aż do chwili, gdy nadchodzi groźna wieść: Napoleon zabity.

Druga wieść brzmi, że Napoleon cudem uszedł śmierci, ale skutkiem wybuchu piekielnej maszyny mnóstwo ludu i wielka część spiskowców została zabita.

Do restauracyi Cossata wnoszą rzekomo jego samego — jako trupa. Cossat dzięki przemianie ubrania z jednym ze spiskowców — w istocie nie zabity — uchodzi i knuje w dalszym ciągu swój spisek.

Mijają trzy lata. Autor przenosi nas do domu I konsula — Napoleona. Widmo spisku sięga aż tutaj. Rywalizacya ministrów policyi, z których jeden twierdzi, że Cossat-margrabia de Tallemond żyje, drugi twierdzi, że nie żyje. Tallemond znajduje się jako agent policyi w najbliższem otoczeniu ministra.

„Piękna Marsylianka,“ której Cossat uchodząc powierzył tajemnicę swojego życia, żyje w odosobnieniu, Napoleon sprowadza ją do siebie, by tajemnicę Tallemonda z niej wydobyć.

Na próżno. „Piękną Marsyliankę“ łączy w małżeństwie z Crisenoyem, przerywa im noc poślubną.

Na próżno. Podejrzenia jego jednakże piętrzą się — Crisenoya oddala ze swego otoczenia, obawiając się, że i on należy do godzących na jego życie spiskowców.

Cossatowi tymczasem udaje się podsunąć Napoleonowi podrobioną, zu-

za cel „umiejętne badanie ludu polskiego i sąsiednich oraz rozpowszechnianianie o nim wiadomości". Do ostatniego roku stał na czele Towarzystwa prof. Antoni Kalina, zmarły w 1905 r. Obecnie przewodniczą mu prof. Józef Kallenbach i Wilhelm Bruchnalski. Towarzystwo posiada znakomicie uposażoną bibliotekę, a główna jego czynność zasadza się na wydawaniu czasopisma „Lud", ukazującego się co kwartał, a poświęconego badaniom ludoznawczym. Niestety Towarzystwo nie jest popierane dostatecznie przez Sejm. Kiedy bowiem Tow. im. Szewczenki (ruskie) na cele ludoznawcze pobiera 3000 kor. subwencyi ze Sejmu, to Towarzystwo ludoznawcze ledwo — 400 kor. (Rusini mimo to mówią, że im się krzywda dzieje!)

Sprawa najazdu młodzieży ruskiej na uniwersytet zatoczyła szersze kręgi. Wobec hajdamackiego zbrodniczego napadu oddano sprawę policyi, która aresztowała i zatrzymała w więzieniu śledczem około 120 wmieszanych w sprawę awanturników. Okazuje się, że zamach cały był uplanowany naprzód, że wiedziano o tem tak po miastach prowincyonalnych Galicyi, jak i we Wiedniu. Prasa ruska stanęła w obronie swej młodzieży, uważając ją za bohaterów, męczenników i ofiary polskiego „hakatyzmu" (!). Wtórują jej socyaliści — „polskość" partyi socyalistycznych im na to pozwala — i Niemcy, sojusznicy Rusinów w walce przeciwko wszystkiemu, co polskie.

Ruch przedwyborczy wzmaga się z dniem każdym. Szaloną agitacyę rozwinęli przedewszystkiem Rusini, a następnie polskie partye radykalne. Socyaliści również nie próżnują; ogłoszono tymi dniami nawet oficyalne kandydatury socyalistyczne — ale dla innych krajów koronnych: są na tyle dyskretni, że na razie nie odsłaniają kandydatur w Galicyi, gdzie mają nie wielkie szanse.

Sejm galicyjski zbiera się 14 b. m. na doroczną sesyę. Cały szereg ustaw leży przed nim do zatwierdzenia, a góruje nad nimi sprawa sejmowej reformy wyborczej. Wprawdzie Wydział krajowy, jak podnoszą, ma wnieść projekt stworzenia 10 mandatów V. kuryi (powszechnej), ale nie ulega wątpliwości, iż dla posłów projekt ten będzie za mało demokratyczny, że Sejm poweźmie o wiele dalej idące uchwały.

W ostatnich dniach stycznia dziennikarstwo polskie poniosło dotkliwą stratę przez śmierć Leona Laszkiewicza. 24-letni, ukończony student filozofii, żywy brał udział w społecznem życiu młodzieży, znany był jako znakomity mówca ludowy, ceniony, jako publicysta. Przez rok redagował „Tekę", pismo młodzieży polskiej, pracował w „Sztandarze" (organie robotników narodowców), warszawskich „Dzwonie Polskim" i „Gazecie Warszawskiej". Ostatnio był redaktorem ludowego pisma „Ojczyzna" i członkiem redakcyi „Słowa Polskiego."

M. N.

Przegląd prasy.

Opinia publiczna w sprawie biskupstwa zaczyna się wyjaśniać. Kwestya następstwa po ś. p. ks. arcybiskupie Stablewskim związana jest ściśle ze sprawą strejku szkolnego.

Rząd według ogólnej opinii nie chce załatwić sprawy arcybiskupa bez uprzedniego załatwienia sprawy szkolnej. Ks. administrator i biskup Likowski — tak brzmią wieści — ma poważne szanse pozyskania tronu arcybiskupiego.

Ale — strejk?! co zrobić ze strejkiem? Chcąc pozyskać tron arcybiskupi — trzeba skończyć ze strejkiem — chce rząd.

Podaliśmy już w przeszłym numerze „Pracy" głos „Gazety Polskiej", która potwierdziła wieści obiegające w prasie warszawskiej, że ks. biskup Likowski starał się wpłynąć na duchowieństwo w kierunku nieodpowiadającym życzeniom społeczeństwa naszego.

Sprawę tę podjął także *„Kuryer Poznański"* i w zasadniczym artykule zatytułowanym „quousque" występuje przeciwko „polityce władzy kościelnej", robiąc jej zarzut, że *„nietylko nie broni ludu, lecz kokietuje system pruski."*

Na zarzut ten odpowiadają ks. ks. kanonik Echaust i dziekan Kotecki następującem sprostowaniem:

Poznań, dnia 9. lutego.

Szanowną Redakcyę
prosimy uprzejmie o umieszczenie w „Kurjerze Poznańskim" następującego oświadczenia:

---

pełnie do jego własnej podobną tabakierkę. W tabakierce — trucizna.

Zamach ten niweczy „Piękna Marsylianka", przemieniając wśród rozmowy z Napoleonem prawdziwą tabakierkę z podsuniętą.

Napoleon ocalony. Cossat pada w pojedynku z Rappem, adjutantem Napoleona. Śmierć jego rozwiązuje usta „pięknej Marsyliance". Napoleon, któremu w owej chwili ofiarowano koronę cesarską — okazuje jej swoją wdzięczność w ten sposób, że łączy ją znowu z Crisenoyem i mianuje go jenerałem w swoim sztabie.

Historycznie to bezwątpienia obraz barwny — temat sensacyjny — wiszący nad Napoleonem miecz Damoklesa w postaci spisku, ukrytego sztyletu, trucizny dodaje jej zgrozy i budzi zainteresowanie. Między życiem i śmiercią — jaki będzie Napoleon?

Bez wątpienia wolelibyśmy widzieć Napoleona, jak w ukropie bitwy spokojne, krótkie, ostre rzuca rozkazy. Zapał zwycięstwa.

Widzieć człowieka w niebezpieczeństwie, grożącem mu od skrytobójców o ile sensacyjne — o tyle mniej siłą rzeczy uwydatnić nam może jego istotną wielkość.

A Napoleon jest wielki — wielki jako ten bóg wojny, który zwycięską stopę swoją postawił na grzbiecie Europy — w otoczeniu spiskowców i schlebiającego mu dworu trudno go sobie wystawić.

Autor musiał mu nadać nieco pozy, musiał pozostawić odtworzenie charakterystycznych cech — aktorowi, artyście.

I przyznać musimy, że p. Jaracz postać Napoleona historycznie przedstawił bardzo wiernie — w masce, w ruchach, w otoczeniu z kobietami, z ministrami, z przyjaciółmi-żołnierzami. Nerwowy, krótkimi, szybkimi krokami przebiegający pokój w dłuż i w szerz, patrzący swoim magicznym wzrokiem zdaje się w głąb duszy, gdy z kim rozmawia, mówiący krótkim, urywanym, szybkim nieco podniesionym tonem — oto Napoleon.

Tak go też opisują współcześni. Tak go odtworzył p. Jaracz.

Obok Napoleona główną rolę odgrywała „piękna Marsylianka", p. Turowiczówna. A przyznać muszę, że gra jej była bardzo dobra. Brak tylko głosowi p. T. siły i czystości. W momentach silniej zaakcentowanych staje się jakby zachrypły i zbyt ostry.

Reszta artystów i artystek p. Górska, p. Zawierski — p. J. Ryger, p. Jrnosza, p. Jaszewski, p. Wojciechowska grali swe role z powodzeniem.

Nie należy także zapomnieć, że p. dyrektor Ryger do „Pięknej Marsylianki" nowe zakupił kostyumy i nowe dekoracye, tak że sztuka ta pomimo szczupłości sceny teatru naszego przedstawiała się bardzo pięknie. Teatr w sobotę, w niedzielę i wtorek był przepełniony, co jest najlepszym dowodem powodzenia „Pięknej Marsylianki".

Chochlik.

„Kurjer Poznański“ podaje w Nr. 32. z dnia 8. b. m. za „fakt, że Zwierzchnik archidyecezyi poznańskiej usiłował nakłonić dziekanów, by spowodowali ogół duchowieństwa do zaprzestania obrony ludu“. Jako uczestnicy zebrania ks. ks. dziekanów oświadczamy, że fakt ten zmyślony, podany w piśmie publicznem czyni ciężką krzywdę Najprzewielebniejszemu Księdzu Administratorowi naszej archidyecezyi.

Nikt go udowodnić nie może, a kto się pokusi tego dokonać, niechaj uchyli przyłbicy, a nie kryje się za plecami źle poinformowanej Redakcyi.

Z szacunkiem
Ks. Echaust, kan. metropolitalny.
Ks. W. Kotecki, dziekan.

Pismo to mówi o „zebraniu księży dziekanów“ i oświadcza, że *fakt*, jakoby Zwierzchnik dyecezyi poznańskiej usiłował nakłonić dziekanów, by spowodowali duchowieństwo do zaprzestania obrony ludu“ — jest *zmyślony*.

Wobec tego, „Kuryer Poznański“ określa bliżej pojęcie „obrony ludu“ i powiada, że chodziło mu „o obronę w sprawie szkolnej i dodaje do tego co następuje:

„Ażeby i tym razem nie zaszło nieporozumienie, wyjaśniamy sprawę zupełnie wyraźnie.

Ks. Administrator wobec grona dziekanów wyraził życzenie, by nakłonili duchowieństwo do *biernego zachowania* się wobec strajku szkolnego. Informacyę tę mamy z kilku źródeł tak poważnych, że nie śmiemy ani chwili informatorów posądzać, by byli w przedstawieniu kwestyi przesadzili lub wogóle błędnie nam referowali, tem bardziej, że chodzi tu o jednę z najżywotniejszych spraw naszego społeczeństwa, a zarazem o polityczne stanowisko tak wysoko postawionego dostojnika kościelnego, jakim jest ks. Administrator naszej archidyecezyi.

Nadmieniamy, że wedle naszych informacyi nieprzychylne wobec środków obronnych społeczeństwa stanowisko zajął ks. Administrator już *w dzień wielkiego wiecu polsko-katolickiego* w Poznaniu. Nie dziw, że odpowiedź na telegram wiecu wypadła nader zimno.

Faktem też jest, że jeden z dziekanów wysnuł ze słów ks. Administratora *daleko sięgające* praktyczne konsekwencye na papierze, co wywołało na tumskiej wyspie wielki popłoch“.

Jakie to były konsekwencye, o tem pisze kościańska *„Gazeta Polska“* tak:

„jeden z ksks. dziekanów z Ostrowskiego (nazwisko w razie potrzeby gotowiśmy opublikować — Red.) wydał piśmienny okólnik do podwładnego duchowieństwa w myśl życzenia zwierzchniej władzy dyecezyalnej.“

Że taki okólnik ks. dziekana do księży swego dekanatu „wywołał popłoch na wyspie tumskiej,“ to jasne—ks. biskup Likowski nie życzył sobie widocznie tak doraźnego załatwienia sprawy strejku. Ale krok owego ks. dziekana —jeżeli informacye „Gazety Polskiej“ są ścisłe — wywołał bądź co bądź dodatni skutek i to ten, że

„władza duchowna sama uznała, że droga ustępstw wobec rządu pruskiego wiedzie nad brzeg przepaści i — zdobyła się na krok stanowczy: oświadczyła wobec przedstawicieli rządu, że wszelkie pertraktacye o tron arcybiskupi, *których podstawą i warunkiem jest strajk szkolny i jego zwalczanie*, uważa za uchybiające dostojnikowi kościelnemu, i że na takiej podstawie w dalszych pertraktacyach żadnego nie weźmie udziału“.

Pragnęlibyśmy bardzo, by informacye te były prawdziwe. Takie bowiem stanowisko zwierzchnika dyecezyi poznańskiej odpowiada jedynie powadze Kościoła, jego interesom — i życzeniom ludu polskiego.

* * *

Na G. Śląsku wraz w odrodzeniem narodowem postępuje praca nad podniesieniem kulturalnem.

Oto w piątek ub. tygodnia zebrało się w Katowicach grono osób, które założyło komitet „Wykładów ludowych im. Adama Mickiewicza“ — na wzór istniejącego w Poznaniu i w Ostrowie.

„Górnoślązak“ założenie tego komitetu nazywa „myślą dobrą“ i tak określa jego zdanie:

„Chodzi bowiem o zaznajomienie ludności naszej z najważniejszemi przedmiotami z dziedziny nauki i sztuki. Będą odczyty z historyi, z literatury, wykłady z nauk ścisłych tj. chemii, fizyki, hygieny, geografii, astronomii, będzie się mówiło o sztuce, dawało życiorysy sławnych ludzi, zasłużonych około rozwoju ludzkości itd.“

Zakładający komitet ten mają przeświadczenie, że lud masami pogarnie się na owe odczyty. My tylko komitetowi życzyć możemy zbożnej i owocnej pracy. Bardzo to pięknie z jego strony, że po ciężkiej walce wyborczej zwraca myśl ludu ku nauce, ku zajęciom poważnym.

* * *

Księża administratorzy archidyecezyi gnieźnieńskiej i poznańskiej, ks. prałat Dorszewski i ks. biskup Likowski wydali w sprawie sezonowego wychodźtwa ludu polskiego do ks. ks. dziekanów okólnik, zawierający wskazówki, jak duchowieństwo ma się tym ludem polskim zaopiekować, który na lato wychodzi „w świat.“ Okólnik upomina księży, „ażeby wychodźców swych parafii przestrzegli, by zawierając kontrakty z agentami, upewnili się uprzednio o odległości kościoła, i nie przyjmowali pracy w miejscowościach zbyt odległych od kościoła katolickiego; aby sobie w kontrakcie zastrzegli wolność uczestniczenia w nabożeństwie przynajmniej co dwa tygodnie raz, i zwolnienie od roboty w ciągu lata, gdy biskup miejscowy da im możność odbycia spowiedzi w języku ojczystym.“

Księża mają dawać wychodźcom pismo polecające do proboszcza odnośnej parafii. Odnośny proboszcz pismo to ma zwrócić za powrotem wychodźcy do kraju i udziela świadectwa o jego na obczyźnie sprawowaniu się.

Każdy proboszcz ma sobie z pośród wychodzących za robotą wybrać najpoważniejszą dziewczynę albo najpoważniejszego parobczaka, którzy zobowiążą się co dwa tygodnie donosić mu o sprawowaniu się swej kolonii.

Każdy dekanat ma przynajmniej raz przez lato jednego ze swoich księży wyznaczyć, który by przez tydzień lub dwa pośród tych wychodźców przebywał i opatrywał ich potrzeby duchowne.

Okólnik wskazuje także na doniosłość czytania pism polskich — katolickich.

Tak daleko treść okólnika. „Dz. Berliński“ wyraża dla samego okólnika uznanie, nie godzi się atoli na to, ażeby księża niemieccy za powrotem wychodźców polskich do stron rodzinnych mieli wydawać tymże „świadectwa moralności.“

„Najlepiej będzie — pisze „Dziennik Berliński“ — *jeżeli moralnością naszego ludu zajmować się będą księża nasi w kraju.* Jak ci młodzież naszą wychowają moralnie i uświadomią także pod względem narodowym i obywatelskim, to on dla nas na obczyźnie na pewno nie przepadnie“.

W zasadzie godzimy się na stanowisko wspomnianego pisma. Nie o to nam jednak chodziło, gdy chcieliśmy zapoznać Czytelników naszych z treścią okólnika.

Chodziło nam raczej o to, ażeby pokazać, jak bardzo opiekuje się Kościół o lud swój wierny katolicki. Troska tu o jego duszę sięga tak daleko, że wskazuje księżom aż środki i sposoby kontroli nad powierzonemi ich pieczy owieczkami.

I nikt się temu nie będzie dziwił. Uzna to za pożyteczne, za słuszne, za dobre, nawet za konieczne. Gdy jednak w prasie narodowej odezwie się głos o potrzebie kontroli *narodowej*, o potrzebie wzajemnego pouczania się, co się ze stanowiska narodowego godzi — na to odpowiedzią jest: oburzenie.

A jednak taka kontrola być musi.

Gdybyśmy byli społeczeństwem hartownem jak stal, które zasad narodowych trzyma się dzięki silnemu swemu charakterowi — dobrze: kontrola mogła by być zbyteczną. Wobec atoli chwiejności naszego charakteru, wobec skłonności do zbytniej wyrozumiałości wobec *wad i słabostek naszych*, kontrola naszych postępków narodowych jest konieczna jako środek wychowawczy.

Na propozycyę „Dz. Berlińskiego", by i „Straż" zajęła się sprawą wychodzącego za zarobkiem w świat ludu polskiego piszemy się zupełnie. Mamy nadzieję, że p. Fr. Krysiak jako starosta „Straży" tych okolic, do których lud nasz jedzie szukać zarobku — zarządowi „Straży" przedłoży konkretne wnioski.

Tydzień polityczny.

Omawialiśmy w przeszłym tygodniu znaczenie wyborów i rozkład stronnictw parlamentarnych. Nie ulega wątpliwości, że rząd w wyborach tych odniósł znaczne zwycięstwo. Pozyskał dwa rodzaje większości parlamentarnej, z których w razie potrzeby będzie mógł korzystać. Jedna z nich składa się z konserwatystów, narod.-liberałów, wolnomyślnych i innych mniejszych partyi rządowych — druga z *centrum*, konserwatystów itd. Ważyć się będą zatem w przyszłym parlamencie wpływy centrum z wpływami narod.-liberałów. Rząd jest rad, że może w danym razie jednej partyi przeciwko drugiej użyć i odwrotnie.

Sytuacyi wewnętrznej to właściwie nie zmienia. Walka centrum przeciwko liberalizmowi była zawsze, centrum tylko teraz część przewagi swojej oddać musi narod. liberałom. Parlamentarna sytuacya natomiast będzie aż nadto interesująca ze względu na rywalizacyę tych dwóch partyi. My Polacy — zdaje się na razie — tej rywalizacyi będziemy się mogli przyglądać spokojnie.

Ciekawość atoli, jakie koło nasze wobec przyszłego parlamentu zajmie stanowisko. Wobec osłabionego stanowiska centrowego przypuszczamy, że centrum starać się będzie obecnie więcej o przyjazne stósunki z kołem naszem.

Czy koło w takim razie ma się stać wiernym sojusznikiem centrum?

Nam się wydaje, że Koło polskie jak dotąd zachowa sobie we wszystkich sprawach politycznych *wolną rękę*, jedynie w sprawach obchodzących kościół katolicki, do którego i my należymy, koło może z centrum zawrzeć ścisły i stały sojusz. Oczywiście centrum zobowiąże się w danym razie popierać sprawy naszego polskiego kościoła katolickiego, i to wierniej i śmielej i szczerzej — bez wycieczek przeciwko naszemu ruchowi narodowemu — jak to uczynił przy ostatniej interpelacyi ks. dziekan Glowatzky.

Przyjaźń, wzgl. sojusz Polaków tj. koła polskiego z centrum może polegać tylko na wzajemnych, rzeczywistych usługach. Społeczeństwo nasze nie życzy sobie, ażeby koło polskie w obecnym powiększonym składzie wysługiwało się centrum — za darmo.

Jeżeli już chodzi o ten stósunek do centrum, to musimy tutaj przypomnieć posłom naszym — sprawę naszego polskiego ludu we Westfalii i Nadrenii.

Dlaczego tam Polacy tak bardzo nienawidzą wprost centrowców? — dlaczego przez braci naszych na obczyźnie ten Polak, który podniesie głos za centrum — bywa wręcz uważany za wroga ludu polskiego? —

Poszło to stąd, że centrowcy chcieli od ludu polskiego — posług za darmo. Gdy lud polski głosy swoje oddawał na centrowców, *księża-centrowcy* odmawiali mu posług duchownych. Wie to każdy, kto przyjrzał się temu ludowi, z jakim trudem on wywalczać sobie musi każdą mszę św., każdą pieśń św., każde nabożeństwo polskie. Lud polski jest zdania, że gdziekolwiek jest, tam ma prawo do wiary, do kościoła katolickiego — a tam do tego kościoła przyjmują go nie tylko jak z łaski — ale po długiej nieraz, ciężkiej i mozolnej walce.

To jest powodem rozgoryczenia polskiego ludu naszego na obczyźnie do centrowców. Możeby koło polskie wobec zmienionej sytuacyi parlamentarnej pamiętało o wyzyskaniu go na korzyść opieki duchownej w języku ojczystym na obczyźnie. Przypominamy to szczególnie posłowi Brejskiemu nie dla tego, by budował złote mosty zgody z centrum, ale by przez wzajemny układ i porozumienie — coś zyskał dla tego ludu.

Mówiąc o wyborach trudno nam pominąć ciekawy epizod po-wyborczy. Telegramy rozniosły w nocy jeszcze z wtorku na środę (5 na 6 lutego) wieść o zwycięstwie partyi rządowych i o klęsce socyalistów. Berlin oczywiście jako centrala państwowa miał najszybsze i najlepsze wieści.

Zebrał się tłum ludzi, by zamanifestować swoją radość przed cesarzem i kanclerzem. Przy tej okazyi cesarz przemówił do tłumu. Mowa ta jest o tyle znamienna, że treść jej jest bardzo wojownicza. „Cesarz cieszy się, że ludność oddaje mu taki hołd. Hołd ten płynie z poczucia spełnionego obowiązku wobec ojczyzny. Naród niemiecki pokazał, że zdolen jest potratować wszystkich, co mu w drogę wejdą. Zwycięstwo to nie powinno być przemijającą falą patryotyczną — naród niemiecki ma wytrwać na obronnej drodze. Tu nie chodzi o regułę, według której wróg się bije — ale o to, by był pobity."

Słowa te wyraźnie wprawdzie zwracają się przeciwko socyalnej demokracyi — ale zagranica, a szczególnie prasa francuska odniosła je także do siebie. Powiada ona, że wybory w Niemczech odbyły się pod hasłami nacyonalistycznymi. Naród niemiecki poszedł za hasłem: rzesza w niebezpieczeństwie — do urny w. borczej. Znaczy to, że naród niemiecki gotów odeprzeć każde „niebezpieczeństwo rzeszy", skądbykolwiek ono pochodziło.

Może i prasa francuska ma racyę, pisząc, że w ostatnich czasach polityka cesarza niemieckiego była — agresywną, zaczepną. Skoro naród niemiecki tak łatwo poszedł na lep hasła o „niebezpieczeństwie rzeszy" — kto wie, czy i parlament nie będzie tej polityce hołdował?

O kole polskiem mamy przeświadczenie, że służyć będzie tylko — polityce pokojowej. W każdym razie rzecz godna uwagi, jak to inni sądzą słowa monarsze, które istotnie często mają w sobie — wagę miecza.

Co i jak czytać?

(Powieści historyczne).

Sienkiewicz w swych historycznych powieściach jest nietylko malarzem, ale i psychologiem. Przedstawia nam nietylko zewnętrzną stronę życia narodu, ale wnika w jego duszę.

— Nie zawsze naród nasz szedł dziejowym szlakiem swych przeznaczeń, odziany purpurą dostojeństwa i chwały. Przyodziewał się nieraz w szatę pokutną i kir żałobny. Więc i na kartach historyi widnieją obok świetnych wspomnień czarne plamy.... Sienkiewicz nie waha się odsłonić je przed oczyma naszemi. Powieść historyczna bowiem ma być nietylko odtworzeniem przeszłości, ale i nauką dla żyjących pokoleń.

Dużo tej nauki zawierają powieści Sienkiewicza, to też dla uważnego czytelnika są one znakomitą szkołą uczuć narodowych.

Zasługą nie mniej doniosłą jest tryumf jego nad językiem. Sienkiewicz doprowadził do mistrzostwa władanie ojczystą mową.

Zrobił z niego arcydzieło prostoty siły. Po Słowackim w nowszej literaturze żaden pisarz nie wydobył z języka naszego tylu piękności, tylu przeróżnych subtelnych odcieni, tylu barw tęczowych, co Sienkiewicz, żaden jak on nie pokazał, jak wielką potęgą jest dar słowa, zarówno w poezyi jak w prozie. Sienkiewicz sprawdził w doskonały sposób, co mówi Słowacki:

„Chodzi nie o to, aby język giętki
„Powiedział wszystko, co pomyśli głową,
„A czasem był jak piorun jasny, prędki
„A czasem smutny, jako pieśń stepowa,
„A czasem jako skarga nimfy miętki,
„A czasem piękny, jak aniołów mowa,
„Aby przeleciał wszystko ducha skrzydłem...

Gdyby powieści Sienkiewicza nie posiadały innych zalet oprócz świetności stylu, to jeszczeby dla tego właśnie zasługa jego w tym kierunku była niespożytą.

Dla tego właśnie należy się tym utworom szczególniejsze poszanowanie. Nie powinny być czytane szybko i pobieżnie jak lada romans, lecz raczej studyowane, jak każdy utwór klasyczny.

Do zrozumienia ich piękności potrzeba zatem pewnej dojrzałości umysłowej.

Nie właściwą jest ta lektura dla osób zaledwie dorosłych, poszukujących przedewszystkiem romansu.

Niewłaściwe także i wprost barbarzyńskie ze stanowiska artystycznego wydają nam się popularne, fatalnym stylem napisane i znacznie skrócone powieści Sienkiewicza, nibyto to w celu rozpowszechnienia ich wśród niewykształconych.

Tego pomysłu nie można żadną miarą pochwalić, bo dla prostaczków są rzeczy stosowniejsze zupełnie im wystarczające.

Powieść zaś Sienkiewicza w takiej „przeróbce“ zachwycić nie może nawet prostych umysłów. Wykształcony zaś czytelnik doznaje wrażenia, jakoby piękną, klasyczną statuę ktoś przed jego oczyma rąbał w kawały.

Taką barbarzyńską metodą została przerobiona Trylogia i umieszczona w niektórych kalendarzach — prawdopodobnie na korzyść nakładcy, lecz nie na pożytek czytelników i bynajmniej nie na chwałę autora. *M. G.*

Nadużycia przy wyborach.

Grudziądz, dnia 10 lutego 1907.

Ciekawe u nas były w Grudziądzko-Brodnickiem wybory. Zdrada socyalistów, którym dopomogliśmy na obczyżnie do zdobycia trzech mandatów w Bochum, Duisburgu i Dortmundzie, a którzy w większej części głosowali w grudziądzko-brodnickiem na Siega, nie jest nową, albowiem już przed 4 laty zdradzili oni nas w naszym okręgu nawet w sposób więcej haniebny. Kazali sobie wówczas zwrócić kilkaset grzywien kosztów agitacyjnych.

Ważniejszym powodem klęski naszego kandydata był nacisk figur rządowych i brutalne wprost postępowanie. Byli tacy, którzy łamiąc świadomie przepisy prawne, postępowali sobie z naszymi ludźmi nie jako ludzie cywilizowani lecz jak hersztowie hererów lub jak ongi baszowie tureccy. Dla ilustracyi tych ludzi podaję kilkanaście faktów.

1) *W Mełnie* przewodniczył za stołem niejaki p. von Brülow. Zaledwie kilkanaście minut upłynęło od początku głosowania, zaledwie 20—30 wyborców zdołało oddać swe koperty a już ławnik na zapytanie ilu głosowało wygłosił, że 49 głosów jest oddanych. W dniu 25-go stycznia przy pierwszych wyborach nie chciał przewodniczący pozwolić naszym mężom zaufania pozostać w lokalu wyborczym. Gdy się powoływali na prawo, kazał ich zamknąć do chlewa i wypuścił ich dopiero po skończonych wyborach. Naszych Poznańczyków przy drugich wyborach zamknąć nie próbował, za to powiedział im bez ogródki, że, jeżeli Polacy mieliby w Mełnie mieć większość to wybory poprostu unieważni!! Świadkami tej bezczelności byli pp. Maciej Suchowski z Tucholi, szewc, Bernard Gajkowski z Dombrówki p. Pelplinem, krawiec, oraz pp. Z. R. i M. P. z Poznania. Wpłynęło to tak na lud pracujący w cukrowni, że zamiast 80 głosów oddali Polacy na swego zaledwie tylko głosów 51. Zamiast urny stała na stole waza porcelanowa do zupy!! Mężów zaufania przybyłych z poza Mełna (we wsi niema nikogo coby się odważył rozdawać kartki i kontrolować) odprowadziła gromada polska na dworzec, gdyż tamci kulturnicy z drągami i kijami czekali już aby naszych poturbować!

2) *W Karbowie, Zmijewie, Zmijewku* znaleźli nasi wyborcy przy pierwszych wyborach w kopertach, które brali od odnośnego urzędnika kartki na Siega! Kartki te były poskładane na pół, tak, że trzeba było dobrze uważać, aby je spostrzedz. Jaki rezultat? Haniebnie mała ilość głosów na Łaszewskiego albo kartki były nie ważne skoro dwóch kandydatów znaleziono w kopercie. Są tacy, którzy twierdzą, że kartki na Łaszewskiego wyjęto a zostawiono kartki na Siega, ale my w to nie wierzymy!!!

Tu nadmienić wypada, że p. Wawrowski z Mszany, który był ławnikiem, raczył przybyć do lokalu przy pierwszych wyborach dopiero krótko przed godziną 7-mą! A taki ks. Zygmanowski z Pokrzydowa wogóle w pierwszych wyborach nie raczył brać udziału!

3) *W Brodnicy* na zamku zaczepił przed lokalem urzędnik landratury naszego męża zaufania, który mu — na żądanie — wręczył swą kartkę i w bezczelny sposób groził, że mu da „in die Fresse“ za to, że śmiał mu podać kartkę na Polaka. Także krzewiciel kultury! Tamże ławnicy agitowali w lokalu wyborczym za Siegiem i wciskali kartki a to przecież jest niedozwolonem!

4) *W Karbowie,* gdzie Łaszewski miał 10 głosów więcej jak Sieg, rozwścieczone prusactwo chciało bić naszych.

5) *W Brudzawie wielkiej* był lokal wyborczy w szkole gminnej. Otóż podczas pierwszych wyborów przewodniczący nie pytał się wyborców wcale o nazwiska skoro przypuszczał, że są Niemcami, kontroli pod tym względem nie było najmniejszej. Także przy wyborach ściślejszych chcieli usunąć kontrolującego Poznańczyka z lokalu, lecz „der verfluchte Posener“ nie dał się usunąć i patrzał panom Krzyżakom na palce. Natomiast przy pierwszych wyborach zatrwożony lud bał się wejść do sali i kontroli przy liczeniu głosów ani przy urnie nie było z naszej strony najmniejszej.

Tamże opowiadali ludzie, że w Toruńskiem przy pierwszych wyborach Niemcy wykupywali kartki na ks. Bolta od Polaków płacąc za nie od 50 fen. do 3 mk. a ciemny i łakomy lud sprzedawał je rzeczywiście. I to się działo tuż pod bokiem p. Brejskiego Jana, który dotąd nie umiał uszlachetnić i uświadomić swej najbliższej okolicy.

6) *W Kruszynach* (G. Kruschin) miała urna (pudło) po dwóch bokach otwory a u góry żadnego nie było otworu. Przewodniczył jakiś „Rittmeister“ właściciel wsi, tenże sortował wyborców i kartki swoich ludzi kładł do urny przez inny otwór a obcych także przez inny i tym sposobem przeprowadzał kontrolę; skutkiem takowej otrzymał rodak nasz Górny terminatke

a gościnnemu Łagowskiemu odwołano zabawę jaka się na jego sali odbyć miała. Taki panował teroryzm, że z 29 Polaków tylko 6-ciu oddało głos na Łaszewskiego. Ks. Schultz także nie raczył głosować mimo nawoływań, lecz wolał jechać do Brodnicy celem przedłużenia kontraktu dzierżawnego na grunta proboszczowskie. Lud się na to ogromnie burzył a inni mówili: kiedy ksiądz nie głosuje to czegoż Panowie (byli Poznańczycy) od nas żądacie!! Także w kopertach już były także kartki powkładane na Siega.

7) *W Jajkowie* głosowało *50* Polaków i 15 Niemców; rezultat atoli brzmiał: Łaszewski 15, Sieg 50!!

8) *W Słuszewie* posłał dziedzic Niemiec pachołków i lud roboczy umyślnie do lasu po drzewo tak w dzień pierwszych jako i ściślejszych wyborów, aby go tylko nie dopuścić do urny. Te głosy nam naturalnie przepadły.

9) *W Grudziądzu* na początku był stenografista umiejący po polsku; gdy nasi coś telefonowali, dawano znać o tem w tej chwili Niemcom odnośnym, aby nam pracę agitacyjną uniemożliwiali i psuli. Pan poseł Kulerski nie głosował w ogóle przy ściślejszych wyborach, gdyż „bawił“ w Berlinie!! Piękny przykład dla ludu, nie ma co mówić!

Muszę też wspomnieć o wielkiej nieżyczliwości pp. agitatorów z Chełmna, Torunia i Grudziądza dla Poznańczyków; zamiast im być wdzięcznymi za przybycie i pomoc, pozwolili sobie niektórzy z nich na szarpiące krytyki i krzywdzące zarzuty. Takie postępowanie swoich nie zachęci zapewne nikogo do niesienia nam w przyszłości swej pomocy.

Pp. prezesi komitetów powiatowych Stefański z Grudziądza i Ossowski z Najmowa robili wprawdzie co mogli, lecz sami przyznać muszą, że pierwsze mianowicie wybory były przygotowane niedostatecznie. Nie było kartek, nie było „zaufanych“ mężów zaufania, organizacya była licha a partacka bo była doryweczą a przecież 5 tygodni było czasu do zorganizowania się. Ogólnie dziwiono się, że „Gazeta Grudziądzka“ sięgająca jak pająk do dalekich dzielnic swymi abonentami, tam u siebie w Grudziądzkiem i Brodnickiem nie umiała dotąd wychować dzielnego, uświadomionego i nieustraszonego sztabu ludzi, którzyby umieli pokierować wyborami. Smutne to, lecz prawdziwe!

Z drugiej strony zanotować trzeba i objawy dodatnie. W Nieżywińcu w Brodnickiem, pracowali ks. Ruciński i p. Benz ze zrozumieniem i wielkiem poświęceniem, duch był znakomity, to też i rezultat wspaniały.

Po ostatniem doświadczeniu dochodzimy tutaj coraz bardziej do przekonania, że okręg grudziądzko-brodnicki zdobyć można tylko przy *pierwszych* wyborach, wtenczas, jeżeli komitety *przed wyłożeniem* list wyborczych rzucą w powiaty całe tysiące odezw, aby nasi spieszyli *kontrolować* listy. Tylko wtenczas zyskując do 2000 głosów (tyle było w 200 gminach niezapisanych!!) możemy liczyć kiedyś na zwycięstwo. *Z.*

List z Galicyi.

Rzochów, 5. 2. 07.

Szanowna Redakcyo!

Ludy Austryi spotkało wielkie szczęście. Patentem cesarskim z dnia 30 stycznia r. b. rozwiązano parlament wraz z sankcyonowaniem nowej ustawy wyborczej. Inaczej ukształtują się teraz stosunki w Austryi, inaczej także w samej Galicyi.

Zwołanym będzie jeszcze w tym roku Sejm krajowy, który, jak chodzą słuchy, ma załatwić wiele koniecznych reform gospodarczych, a reformę ordynacyi sejmowej — co jest powszechnem życzeniem ludności — przesunie jednak aż do jesieni.

Tymczasem krzątają się partye i kandydaci około nowych wyborów.

Jak już informowała nas „Praca“, powstała centralna narodowa organizacya wyborcza „Rada narodowa“, skupiająca w sobie żywioły konserwatywne, demokratyczne i centrum ludowe. Po przeciwnej stronie stoją: ludowcy, krakowski odłam demokracyi t. zw. skoncentrowani demokraci i socyaliści. W obozie tym jednak brak wspólnego porozumienia. Ludowcy wyciągają rękę po mandaty wiejskie — socyaliści i skoncentrowani demokraci po miejskie. Socyaliści prowadzą już ożywioną agitacyę, tak samo i ludowcy, którzy odbyli niedawno przedwyborczy zjazd mężów zaufania w Krakowie. Po zjeździe tym mówią o pewnem nieporozumieniu w łonie partyi. Kością niezgody ma być kwestya wstąpienia posłów ludowych do Koła polskiego.

Tymczasem nie zasypia się gruszek w popiele. Ludowcy zaczęli na wybory wydawać dwa nowe pisma ludowe — nic dziwnego, dla tych panów wybory są wszystkiem, na nich kończy się cała praca. Skoncentrowani demokraci na razie siedzą cicho i bawią się w papierowe protesty przeciw „Radzie narodowej“ no i mają wielkie nadzieje. Ale zdaje się, że się skończy na tych nadziejach. Ze stronnictw, które wstąpiły do „Rady narodowej“ uwija się „centrum“; wydało także odezwę przedwyborczą (która może najlepiej cechuje obecne położenie polityczne) stronnictwo demokratyczno-narodowe. Tak mniej więcej w ogólnych zarysach przedstawia się stan kraju przed wyborami.

Szermierz.

Z Koła polskiego w parlamencie.

W wtorek dnia 19-go lutego, o godzinie 8-ej wieczorem odbędzie się posiedzenie Koła Polskiego w parlamencie, na które Szanownych Kolegów z polecenia byłego prezesa Koła, księcia Ferdynanda Radziwiłła, jak najuprzejmiej zapraszam.

Porządek obrad: 1. Ukonstytuowanie się Koła. 2. Sprawa wyboru marszałka, oraz biura parlamentu. 3. Odnowienie wniosków Koła.

Roman Janta-Połczyński,
były sekretarz.

Ruch w Towarzystwach.

* **VIII. Zjazd XX. Patronów i Wicepatronów** *Związku Katol. Towarzystw Robotników Polskich* odbędzie się we *wtorek, dnia 5-go marca* w *Domu Katolickim w Poznaniu.* Obrady rozpoczną się punktualnie o godzinie pół do 11-tej przed południem.

Porządek obrad:

1) Zagajenie.
2) Wybór komisyi do rewizyi kasy Związkowej.
3) Wybory trzech członków komitetu dyecezyalnego w miejsce ustępujących: ks. prał Laubitza, ks. prob. Mayera, ks. prob. Niesiołowskiego.
4) Dyskusya nad sprawozdaniem Związkowem drukowanem w „*Robotniku.*“
5) Zmiana statutu związkowego: Dyskusya nad przesłanym projektem.
6) Sprawozdanie komisyi rewizyjnej — pokwitowanie zarządu.
7) Rozwój porady prawnej w Związku — ref. ks. Adamski.
8) Nasze towarzystwa wobec wychodźtwa sezonowego — ref. ks. radzca Kolasiński.
9) Nasze towarzystwa a zabawy — ref. ks. prał. Wawrzyniak.
10) Zamknięcie zjazdu.

Komitet Dyecezalny
Związku Kat. Towarzystw Robotników Polskich archidyecezyi gnieźnieńskiej i poznańskiej.
Ks. Antoni Stychel,
prezes.
Ks. St. Adamski,
sekr. jeneralny.

—* **Zarząd Związku** *Towarzystw kupieckich na rzeszę niemiecką z siedzibą w Inowrocławiu.* Roczne walne

zebranie delegatów i zarządu odbędzie się w niedzielę dnia 17 b. m. w Kościanie w hotelu Wiktorya o godzinie 4 po południu.

Na zebranie to zapraszamy z głosem doradczym wszystkich tych panów kupców, którzy się sprawami Związku Kupieckiego interesują, gdyż chodzi o zreformowanie lub rozwiązanie Związku.

Kupiectwu cześć!

Zarząd
Związku Tow. Kupieckich na rzeszę niemiecką z siedzibą w Inowrocławiu.
Wacław Ozdowski, prezes.

* **I. Zjazd delegatów „Wyzwolenia“**, Towarzystwa zupełnej wstrzemięźliwości od napojów alkoholowych na państwo niemieckie, odbędzie się w poniedziałek, dnia 18 lutego o godzinie 2-ej po południu na sali w Gospodzie wstrzemięźliwości przy ul. Dominikańskiej w Poznaniu.

— **Związek** *Towarzystw polsko-katolickich robotników w Niemczech.* Prezesów okręgowych uprasza się, by w swych okręgach zwołali zjazdy okręgowe, na których traktować należy szczególniej sprawę agitacyi.

Zwraca się zarazem uwagę na to, by wnioski od poszczególnych Towarzystw na walny zjazd delegatów nadesłano najpóźniej do 1 marca rb. Walny zjazd delegatów odbędzie się w drugie święto wielkanocne, 1 kwietnia rb.

W bieżącym kwartale należy również nadesłać na ręce głównego skarbnika pieniądze za podróż delegatów do Berlina (15 fen. od członka).

Hamburg. Zebranie delegatów okręgu hamburskiego odbędzie się w niedzielę, 24 lutego.

— **Tow. Przemysłowców w Dortmundzie** w niedzielę, dnia 17 b. m. o godz. 5 po poł. u p. Schäfera, Leibnitzstrasse odbędzie walne zebranie.

Na porządku obrad ważne sprawy. Upraszamy o jak najliczniejszy udział nietylko członków, ale i rodaków, chcących przystąpić do naszego Towarzystwa.

Zarząd.

Wiadomości.

* **Posłowie polscy w parlamencie niemieckim.** Podajemy liczby posłów polskich w parlamencie od czasu jego istnienia. A więc było:

w 1871 roku 13 posłów,
w 1874 „ 14 „
w 1877 „ 14 „
w 1878 „ 14 „
w 1881 „ 18 „
w 1884 „ 16 „
w 1887 „ 13 „
w 1890 „ 16 „
w 1893 „ 19 „
w 1898 „ 14 „
w 1903 „ 16 „
w 1907 „ 20 „

* **Przeciw ważności** *wyborów w okręgu chełmińsko-wąbrzesko-toruńskim* założony będzie protest. Komitet wyborczy zbiera materyał w tej sprawie i wzywa wyborców wzmiankowanego okręgu, aby przesyłali odnośny materyał na ręce sekretarza p. Juliusza Reicha w Toruniu (Brückenstr. 4) i nadmienia, że są widoki, że uda się udowodnić nieprawidłowość wyboru p. Ortla i uzyskać jego unieważnienie.

* **Procesy prasowe.** Przed poznańską *Izbą karną* stawał dnia 8 b. m. redaktor „Kurjera Pozn.“ p. *K. Ziółkowski,* oskarżony w dwóch przypadkach na mocy znanego § 110, a w jednym o obrazę nauczyciela. Skazano go razem na 720 mk. Ogółem skazano dotychczas p. Ziółkowskiego na 2250 mk. Oprócz tego czeka go jeszcze 6 spraw; 3 za obrazę nauczycieli i drugie trzy o § 110. — *Ks. kanonik Adamski,* redaktor „Robotnika“ stawał dnia 6-go b. m. przed poznańską Izbą karną jako oskarżony o wzywanie do nieposłuszeństwa przeciwko rozporządzeniom władzy. Rzekomego przestępstwa dopatrzono się w jednym z artykułów „Robotnika“, który miał wzywać do strejku szkolnego. Prokurator wniósł o 100 marek kary. Oskarżony bronił się tem, że odnośny artykuł podano w jego nieobecności i bez jego wiedzy. Mimo to sąd skazał go na 30 marek kary. — *Redaktor* „Gońca Wielkopolskiego“ *p. Wincenty Szpotański,* skazany został dnia 6-go b. m. za dwa artykuły wzywające rzekomo do strejku szkolnego razem na 120 mk. kary. Prokurator wniósł o 250 mk. — *Redaktora* „Gaz. Ostrowskiej“ *p. Rowińskiego* skazała ponownie dnia 7-go b. m. ostrowska Izba karna za rzekome wzywanie do strejku i obrazę powiatowego inspektora szkolnego z Odolanowa na 300 mk. kary. — *Redaktor* „Gaz. Toruńskiej“ *p. Juliusz Reich* skazany został na 500 mk. kary lub 100 dni więzienia za rzekome wzywanie do nieposłuszeństwa wobec rozporządzeń władzy. Przestępstwa dopatrzono się w powtórzeniu odezwy księży dekanatu lubawskiego i w artykule o nauce religii przejętym z pewnego pisma śląskiego. — *Redaktora „Postępu“ p. Trochę* skazano dnia 13-go b. m. w dalszym ciągu w 5 procesach razem na *4 i pół miesiąca więzienia* i na *600 marek kary.* — *Redaktora* „Polaka“, *p. Fr. Wojciechowskiego* skazała Izba karna w Bytomiu na 100 i 30 mk. kary za rzekomą obrazę policyi. W pierwszym wypadku p. Wojciechowski ganił policyę za usunięcie z procesyi członków Tow. młodzieży polsko-katolickiej pod wezwaniem św. Stanisława Kostki. W drugim zarzucał policyi, że podczas konfiskowania pieniędzy u abstynentów przeznaczonych na zapłacenie kar sądowych, o mało nie zabrała kolporterom „Polaka“ pieniędzy za abonament.

* **Jednomiesięczną karę więzienną** zaczął odsiadywać dnia 8 bm. współpracownik „Gońca Wielk.“ pan *Stefan Hoffmann* za artykulik w „Lechu“, poświęcony tym Polakom niezależnym, którzy w dzień jubileuszu srebrnego wesela pary cesarskiej iluminowali w Gnieźnie okna.

* **Wydalenie gimnazyastów** *za strejkowanie rodzeństwa.* Dnia 6-go b. m. wydalono 3 uczniów gimnazyum w Nakle, mianowicie Susałę, Czulkowskiego i Rolowa, za to, że rodzeństwo ich strejkuje w szkołach ludowych. Mamy nadzieję, że Koło polskie w energicznych słowach poruszy sprawę tę i jej pokrewne przed forum sejmowem.

* **Sprostowanie:** Pani St. Tumczyńska, której mąż wymieniony był wśród niegłosujących do rady miejskiej przy ul. Rycerskiej — donosi nam, że tego uczynić nie mógł, ponieważ dnia 16-go grudnia ub. r. przedtem umarł. — Panią St. Tumczyńską przepraszamy za krzywdę wyrządzoną jej przez naszych informatorów. — Redakcya.

* **Zapowiedź czy wywiad?** „Norddeutsche Allgemeine Ztg.“ ks. Bülowa dowodzi, że polityka antypolska osiągnęła znaczne rezultaty, i że opłaci ją się prowadzić dalej. Artykuł ten nie wiadomo, czy jest zapowiedzią nowych ustaw wyjątkowych, czy też tylko zapuszczeniem sondy do źródeł opinii niemieckiej, która w ostatnim czasie wykazywała „zupełne fiasko polityki antypolskiej.“ Artykuł ten jest tak znamienny, że poświęcimy mu w przyszłym numerze obszerniejszą szczegółową krytykę.

* **W sprawie stłumienia** strajku szkolnego rząd pruski najrozmaitszych chwyta się środków. Między innemi świeżo regencya w Gdańsku wydała na mocy stuletnich przepisów rozporządzenie do p. Jana Kuchty w Łapalicach, które w dosłownem tłumaczeniu brzmi jak następuje:

Rozporządzenie.

Dzieci pańskie Antoni, Wiktorya i Leokadya, uczenie szkoły ludowej w Garczu, powiatu kartuzkiego, wzbraniają się, wykonywać zarządzenia władzy szkolnej co do nauki religii planem szkolnym objętej.

Stwierdzono, iż Pan dzieciom nakazałeś, aby się wzbraniały. W sposób niedozwolony przeto naruszyłeś Pan publiczny porządek szkolny.

Na zasadzie §§ 11 i 18 instrukcyi rządowej z dnia 23-go października 1817 r. (Zbiór ustaw str. 248) jako też § 48 rozporządzenia z dnia 26-go grudnia 1808 r. (Zbiór ustaw z r. 1817 str. 282) wzywamy Pana niniejszem, abyś Pan to naruszenie publicznego porządku szkolnego usunął i w przeciągu trzech dni, postarał się o to, aby wymienione dzieci pańskie rozporządzeniom władzy szkolnej znów były powolne. Jeśli się to w przeciągu trzech dni, od doręczenia liczywszy, nie stanie, ustanowioną będzie przeciwko Panu kara egzekutywna w ilości 30 marek, którą niniejszem zagrażamy. Następnie karą większą grozić będziemy.

Przeciwko temu rozporządzeniu możesz się Pan zażalić do pana ministra dla spraw kościelnych, szkolnych i medycynalnych. Wykonania ustanowionych kar nie odracza się przez to.

Gdańsk, dnia 31-go stycznia 1907 r.
Królewska rejencya.
Wydział dla spraw kościelnych i szkolnych.
Do posiedziciela *Moelns.*
pana Jana Kuchty
w Łapalicach. G. 143/1.

Nam się zdaje, że owo rozporządzenie mija się z literą prawa. — Kary nakłada się na fundamencie kodeksu

karnego, lub poszczególnych, przepisy karne zawierających ustaw lub rozporządzeń, albo w zakresie prawnego działania policyi. Poza tem są jeszcze kary dyscyplinarne na urzędników, ale kar takich nie przewidziano na społeczeństwo prywatne.

* **Procesy o zmudę szkolną.** Przed sądem ławniczym w Inowrocławiu toczyło się znowu kilkanaście procesów z powodu nieposłania dzieci na „godziny uzupełniające" i z powodu nieprzysłania do szkoły tych dzieci, które skończyły lat 14. Mimo doskonałej obrony p. mecenasa dr. Swinarskiego, sąd zatwierdził mandaty karne we wszystkich wypadkach z wyjątkiem dwóch.

* **Z powodu strejku szolnego.** Ze Stęszewa piszą do „Dziennika Poznańskiego:

Zeszłego tygodnia został o rzekome podburzanie strejku szkolnego ks. proboszcz Suchowiak z Stęszewa usunięty z dozoru szkolnego, przez co dozór został rozwiązany, albowiem inni członkowie także złożyli urzędy w dozorze szkolnym.

* **Pozbawianie chleba** *za obronę religii.* Do Dziennika Pozn." donoszą z Śremu, że 12 robotnikom z Ługów wypowiedziano robotę w lasach poklasztornych błażejewsko gostyńskich za to, że dzieci ich wzbraniają się odmawiać pacierz niemiecko-luterski.

* **Niesłychane! Nie do uwierzenia!** Pod powyższym nagłówkiem pisze „Lech":

Policya miasta Pakości. J.-No. 158/07.
Pakość, 19 stycznia 07.

Do wezwania mego, abyś Pan synowi swojemu Władysławowi kupił książkę do czytania, Pan dotychczas się nie zastosowałeś.

Biorę dla tego Pana w karę przymusową 10 marek, a w razie niemożności zapłacenia trzy dni aresztu. Kara musi być zapłaconą w przeciągu dwóch tygodni do naszej kasy miejskiej.

Równocześnie wzywam Pana po raz wtóry, abyś książkę w przeciągu trzech dni kupił, bo w przeciwnym razie ustanowię przeciwko Panu jako dalszą karę 20 marek lub 6 dni aresztu.

(Podpis burmistrza.)

Do
stolarza p. Omińskiego
w Pakości.

Pan Omiński udał się na drogę zażalenia. Czy minister zniesie rozporządzenie burmistrza?

W każdym razie ciekawy ten dokument jest dowodem, że w wieku dwudziestym w środkowej Europie może burmistrz małego miasteczka ściągać kary pieniężne i osadzać w areszcie nieposzlakowanych obywateli za to, że wzbraniają się kupić dziecku książkę szkolną i to — bez wyroku sądowego!

* **Grono mistrzów rzeźnickich** w miejsce urządzenia zabawy karnawałowej wpłaciło do kasy Tow. Wyborczego na cele wyborcze 50 mk. za inicyatywą p. Teskiego.

Zarząd Tow. Wyborczego na miasto Poznań.
M. Powidzki, skarbnik.

* **O Kurzągórę.** Dnia 6-go b. m. toczył się przed leszczyńskim sądem jako drugą instancyą proces przeciwko kilku sokołom z Osieczny za udział w znanem „zebraniu" w Kurzejgórze. Na uczestników owego „zebrania" nałożyła swego czasu policya kary pieniężne, przeciwko którym wniesiono o rozstrzygnięcie sądowe. Sąd ławniczy w Kościanie kary potwierdził, zaś druga instancya — jak pisze „Gazeta Polska" — *uwolniła* oskarzonych od winy i kary.

* **Kupców i przemysłowców**, interesujących się wystawą przyrodniczo-lekarską i hygieniczną, mającą odbyć się w r. b. we Lwowie upraszam o podanie adresów.

Dr. Michał Sobeski.
Poznań, ulica Łazarska nr. 8.

* **Z miasta** donoszą nam, że dnia 19 lutego odbędzie się w teatrze polskim przedstawienie amatorskie na cel dobroczynny, którego urządzeniem zajmuje się jedna z pań znanych w mieście naszem z działalności na polu filantropii. Program będzie bardzo urozmaicony, a szczególną wartość nadadzą mu występy wybitnych sił artystycznych i to pani baronowej P., której śpiew ze zeszłorocznych jeszcze występów każdemu zapewne w miłej został pamięci, pianisty p. Eichstaedta, profesora konserwatoryum szczecińskiego, i młodziutkiego skrzypka Zdzisława Jahnkiego, który niedawnym swoim koncertem tak piękny odniósł sukces.

* **Z teatru.** W sobotę: *„Powietrze wielkomiejskie"* (*Influenza prowincialis*). Komedya w 4-ch aktach Oskara Blumenthala i G. Kadelburga. Sztuka nader zajmująca, która na wszystkich scenach wielkiem cieszyła się powodzeniem. (*Ceny zwyczajne*).

W niedzielę o godz. 3-ciej po południu: *„Nitouche"* operetka w 4-ch aktach. (*Ceny do połowy zniżone*).

W niedzielę wieczorem: *„Powietrze wielkomiejskie,"* komedya w 4-ch aktach. (*Ceny zwyczajne*).

* **Prawdziwa tragedya w teatrze.** W ubiegłą niedzielę wieczorem o 7¼, krótko przed przedstawieniem przyszło w garderobie teatralnej do zatargu pomiędzy aktorami pp. Zygmuntem Kossobudzkim a Rojewskim. Pan K. żądał zadośćuczynienia, a kiedy p. R. tego odmówił, strzelił p. K. do niego z rewolweru. Kula trafiła szczęściem guzik ubrania i odbiwszy się, uderzyła o ścianę. Trafiony R. upadł na ziemię, Kossobudzki w przekonaniu, iż kolegę zastrzelił, strzelił sobie w głowę tak niebezpiecznie, że jeszcze w nocy umarł w lazarecie miejskim.

* **Ofiary strejku szkolnego.** Urzędowo donoszą, że z powodu strejku szkolnego skazano dotąd w W. Księstwie Poznańskiem i w Prusach Zachodnich 12 duchownych na podstawie paragrafu o ambonie na 11 miesięcy więzienia i 6 tygodni fortecy; na podstawie paragrafu 110 (podburzanie do oporu przeciw władzom) skazano dotąd dwóch księży i 10 redaktorów pism polskich na kary pieniężne w wysokości 7080 marek, a 5 redaktorów i dwie inne osoby na 23 miesiące i 2 tygodnie więzienia.

* **Nowi kapłani.** Najprzew. ks. biskup dr. Likowski wyświęcił w Gnieźnie w ubiegłą niedzielę 31 kapłanów. Oto ich nazwiska:

Władysław Cichowski, Nikodem Kanikowski, Mieczysław Kłoś, Ludwik Reszelski, Robert Weimann, Tadeusz Wierbiński, Franciszek Wolski, Zygmunt Jerzycki, Józef Bogaczyk, Tadeusz Cegiel, Władysław Cegielski, Mieczysław Czyżak, Stanisław Doerffer, Wacław Faustmann, Klemens Gluth, Edward Gramlewicz, Paweł Gramse, Edmund Grocholski, Mieczysław Janiszewski, Wacław Kolkiewicz, Sylwester Kosiak, Kazimierz Kruszyński, Stanisław Michalski, Józef Nowaczkiewicz, Maryan Polewicz, Józef Siada, Antoni Spychałowicz, Bolesław Staniszewski, Andrzej Switała, Bronisław Sydow, Maksymilian Wierzchaczewski.

Z nowowyświęconych księży posłani zostali według „Lecha": ks. Cegiel jako wikaryusz do Kłecka, ks. Cegielski jako drugi wikaryusz do Trzemeszna. ks. Czyżak do Jaksic, ks. Faustmann do Wągrówca, ks. Wolski do Tuczna.

* **Wilda. Rodacy**!!! Uznając potrzebę *Czytelni* dla ludu naszego i czyniąc zadosyć życzeniu takowemu, postarałem się o założenie na naszej Wildzie *Biblioteki Czytelni Ludowych* i żywię mocną nadzieję, iż z niej korzystać będziecie; poświęcmy wolne chwile czytaniu pożytecznych dzieł, pamiętajmy zawsze i wszędzie, iż wiedza to potęga i bogactwo, a oświata ludu dokona cudu.

Biblioteka otwarta w środy od 6—8-mej wieczorem oraz w niedzielę i święta od 1—3-ciej w południe.

Stefan Dobrowolski.
Nowa rycerska 24 a parter. (Bitterstr.)

* **Pamiętajmy o śpiewie pol[...]** Nie powinniśmy w czasie obecnym [...]pominąć o piosenkach polskich, lecz uczyć się ich i rozpowszechniać, bo pieśni polskie melodyą swojską i słowami poetów naszych uczą nas przywiązania i miłości tego co [...].

Rozpowszechniania [...]owych ślicznych pieśni polskich podjął się „Spiewnik," wychodzący raz na miesiąc w Poznaniu (ul. Fryderykowska 9., kosztuje ćwierćrocznie 1 markę, zeszyt pojedynczy 35 fen.), którego zeszyt styczniowy opuścił niedawno prasę i zawiera śliczną pieśń M[...]zki „Spiewak w obcej stronie;" Szopena „Pierścień;" Komorowskiego „Jaś i Kalina."

Obok tych pieśni znajdujemy na chór czterogłosowy piękną pieśń, której melodya jest czeską i do której podłożony śliczny tekst naszej poetki Konopnickiej; dalej *piosenkę dla dzieci „W lesie."*

Za myśl bardzo szczęśliwą uważamy, iż „Spiewnik" podaje także melodye popularnych operetek z tekstem polskim. W zeszycie ostatnim jest melodyjny gawot „Robaczki świętojańskie," z operetki „Lizystrata". „Spiewnik" wychodzi w pięknej kolorowej okładce, na pięknym papierze.

* **Śrem.** Za obrazę nauczyciela Gluschkego z Kórnika skazała izba karna obywatela Sz. na 6 *miesięcy więzienia.* Sz. miał się dopuścić obrazy z powodu strejku szkolnego w dwóch wypadkach.

Sąd tutejszy skazał p. St. z Szóldr na *sześć miesięcy*, a żonę jego na jeden tydzień więzienia. Małżeństwo to miało dopuścić się obrazy nauczyciela T. z Szóldr z powodu strejku szkolnego.

W izbie apelacyjnej odrzucono sprawy 6 gospodarzy z Dziećmierowa i Skrzynek z powodu strejku szkolnego.

* **Czerniejewo**, dnia 10. 2. 07. Pan Aleksander Miłowski, tutejszy obywatel, rodem z Witkowa, nabył drogą kupna dom piętrowy, będący dotąd w posiadaniu żydów Glaserów przeszło lat 30, za 10,000 marek. Przewłaszczenie nastąpiło 4-go b. m.

Pan Miłowski własną pracą i oszczędnością dokonał tego chwalebnego czynu, za co wszelkie należy mu się uznanie.

* **Jutrosin.** Sąd ławniczy w Jutrosinie skazał młynarza Scisielskiego na pół roku więzienia za obicie nauczyciela S. z Dusina. Młynarz p. Scisielski przyszedł do mieszkania nauczyciela i pytał za co obił córkę jego. Nauczyciel zaprzeczał jakoby córkę obił i twierdził, iż skazał ją na areszt. Na to uderzył oburzony ojciec nauczyciela pięścią w głowę. — Tak zajście to opisują gazety niemieckie.

* **W Pleszewie** rozpocznie się *serya odczytów ludowych na sali hotelu Wiktorya, w niedzielę dnia 17-go lutego 1907 r.*

Odczyty wygłoszą: Ks. Niesiołowski: Z życia Pana Jezusa; p. dr. Likowski: O unii polsko-litewskiej.

Początek o godz. 8-mej wieczorem. Z odczytami połączone będą produkcye świetlanych obrazów. Wstęp na salę bezpłatny.

* **Katowice.** Celem zainicjowania na Górnym Slązku pracy kulturalnej w szerszych rozmiarach odbyło się dnia 8-go b. m. zebranie w Katowicach na małej sali w Reichshalli.

Przybyło około 40 reprezentantów wszelkich sfer inteligencyi.

Zebranie zagaił i przewodniczył mu na życzenie zebranych adw. p. dr. Z. Seyda z Katowic.

Przewodniczący przedstawia w dłuższem przemówieniu ważność pracy kulturalnej w ogólnym rozwoju społeczeństwa.

Nad referatem przewodniczącego wywiązała się bardzo ożywiona dyskusya, poczem uchwalono jednogłośnie założyć *Komitet wykładów ludowych im. Ad. Mickiewicza z siedzibą* w Katowicach, składający z 5-ciu członków.

Obowiązkiem Komitetu jest urządzanie w miesiącach zimowych w Katowicach na sali Reichshalle bezpłatnych wykładów ludowych. Odbywać się mają co niedzielę dwa wykłady po trzy kwadranse.

Z wykładów wykluczone są wszelkie kwestye polityczne. Tematem wykładów mają być: historya i geografia, literatura i sztuka, nauki przyrodnicze i nauki społeczne. Na pokrycie kosztów urządzania wykładów Komitet zbierać będzie składki oraz pobierać będzie dobrowolne datki przy wejściu na salę.

Do Komitetu wybrano pp.: dra Hyllę, W. Korfantego, dra Mielęckiego, dra Seydę i dyr. Szyperskiego.

Przewodniczącym Komitetu obrano p. dra Seydę, sekretarzem p. dra Mielęckiego, a skarbnikiem p. dra Hyllę.

Pierwsze wykłady odbędą się dnia 24-go b. m.

* **Bruckhausen**, dn. 10. 2. 1907. W środę dnia 30 stycznia b. r. o godzinie 5-tej po południu pobłogosławiony został związek małżeński pomiędzy p. Stanisławem Rochowiczem, członkiem wszystkich polskich Towarzystw w Bruckhausen a *panną Józefą Nawracałówną* z Bochum w kościele parafialnym w Bochum. Aktu ślubnego udzielił Wieleb. Ojciec Bazyli z Dortmundu w języku ojczystym. Telegramów nadeszło przeszło 30. Młodej parze szczęść i błogosław Boże!

Jeden z uczestników.

* **Nadarza się** sposobność dla dzielnego kupca rodaka nabycia *przedsiębiorstwa przemysłowego (browaru)* odrzucającego 25 procent od włożonego kapitału. Adres wskaże redakcya „Pracy.“

* **Gdzieby** można otworzyć i z powodzeniem prowadzić *skład stroju i krótkich towarów?* O oferty prosi redakcya „Pracy.“

* **Zwracamy** uwagę na ogłoszenie p. *Kazimierza Bilińskiego*, dawniejszego współpracownika firmy K. Ignatowicz, który otwiera *w Ostrowie* skład szkła, porcelany, galanteryi i t. p. i polecamy go względom tamtejszej publiczności.

* **Zwracamy** uwagę Szanownej Publiczności na ogłoszenie p. *Z. Buszewicza*, który otworzył w Poznaniu przy ulicy Piekary 13 *fabrykę żaluzyi i wyrobów stolarskich* w połączeniu z warsztatem do budowli. Przedsiębiorstwo to polskie polecamy względom rodaków.

Nekrologia.

† Ś. p. *ks, Stanisław Andersz*, proboszcz w Skarboszewie, umarł dnia 12-go b. m. na udar serca. R. i. p.

W przyszłym numerze zamieścimy portret Nieboszczyka oraz wspomnienie pośmiertne.

† Ś. p. *Ludwik Kruszka*, student chemii, dnia 6-go b. m. w Wrocławiu w 22-im roku życia. Pogrzeb odbył się dnia 9-go b. m. w Wągrówcu. R. i. p.

† Ś. p. *Tomasz Mazur*, weteran z roku 1863-go, dnia 7-go b. m. w Poznaniu w 73-im roku życia. R. i. p.

† Ś. p. *Leon Sałaciński*, były uczeń konserwatoryum lipskiego, dnia 9-go b. m. w Śremie. R. i. p.

† Ś. p. *Stanisław Dziegiecki*, wyższy urzędnik kolejowy w Ostródzie, dnia 9-go b. m. Pogrzeb odbył się w Gnieźnie, dnia 12-go b. m. R. i. p.

† Ś. p. *Józef Maciejewski*, dnia 10-go b. m. w Poznaniu w 73-im roku życia. R. i. p.

† Ś. p. *Katarzyna Jeżewska*, dnia 10-go b. m. w Poznaniu w 69-ym roku życia. R. i. p.

† Ś. p. *Zygmunt Kossobudzki*, artysta teatru polskiego, dnia 10-go b. m. w Poznaniu. R. i. p.

Nasza ofiarność

Na pokrycie kosztów agitacyi wyborczej na **Górnym Śląsku** proszono nas o zebranie w drodze składki sumy około **130 mrk.** które pewien wiarus wyłożył z własnej kalety w chwili gwałtownej potrzeby, a których nie będąc majętnym wyzbyć się nie może. Otwierając składkę wyrażamy przekonanie, iż Czytelnicy i Czytelniczki nasze w jednym tygodniu dopomogą naszemu rodakowi do uzyskania wyłożonej kwoty. Sami przeznaczamy na ten cel **5 mrk.**

Dwa razy daje, kto szybko daje; nazwiska ofiarodawców ogłosimy w następującym numerze. Adresować prosimy: „Praca“ Rycerska 38.

* * *

Na fundusz im. ś. p. Najprzewielebniejszego Ks. Arcybiskupa Dr. Floryana Stablewskiego — na stałe popieranie nauki języka ojczystego dla dziatwy polskiej — złożyli w dalszym ciągu: pani K. Klimczak z Mącznik 90 fen; (w znaczkach pocztowych) p. A. H. z Krobi 1 mrk; p. Franciszek Błoch z Oberhausen 10 mrk; (zebrane na wieczorku familijnym 6 mrk. 90 fen. a resztę dołożył p. Błoch.)

* * *

Na biednego weterana z 1863-go roku: p. A. H. z Krobi 1 mrk.

* * *

Na pomoc dla ojca sześciorga dziatek: p. A. H. z Krobi 1 mrk.

Wiadomości literackie.

* **„Kupca“** wyszedł drugi numer i zawiera następującą treść: Walne zebranie Związku Towarzystw Kupieckich na rzeszę niemiecką. — Nasz przemysł fabryczny i handel hurtowny. — Brak związku spółek zarobkowych (z ilustracyami). — Konwencya niemieckich fabrykantów zapałek. — Niebywałe brudy przy fabrykacyi Cornedbeef. — Przestroga dla zabezpieczających się na wypadek kalectwa. — Podsuwanie innego towaru zamiast żądanego. — O ile dopisek ‘‘miejscem wykonania jest........‘‘ umieszczony na fakturach jest prawnie obowiązującym. O treści pożywnej morskich ryb. — W sprawie nazwisk na godłach kupieckich. — Konjunktury. — Rozmaitości. — Ważne wiadomości ze świata handlowego. — Polskie fabryki i domy hurtowne. — Skrzynka do listów.

Ponieważ poczta robi trudności przy odbieraniu przedpłaty, więc powiedzieć trzeba, że „Kupiec“ zapisany „unter U Nachtrag IV“ i kosztuje na wszystkich pocztach 67 fen.

Od Redakcyi.

— Panu Andrzejowi B. w L. pod Mieściskiem. — Taka gazeta nie wychodzi ani w Galicyi, ani też w Królestwie Polskiem.

Naród Polski

pod obcem panowaniem.

41) Opowiedział

Julian Baczyński.

(Ciąg dalszy).

— Jestem swobodnym, nie będę wiązać się z nikim; będę oczekiwał dalszych wypadków, a bić będę się o ile można jak najpóźniej. Otóż teraz, po roku, wypowiedział wojnę Napoleonowi, do którego nie mógł przezwyciężyć swego wstrętu.

W rozpoczynającej się wojnie wielce poparło Austryę powstanie w Tyrolu, należącym wtedy do Bawaryi, powstanie przeciw Francuzom, które podniósł dzielny wieśniak tyrolski Andrzej Hofer [1]).

Na tę wojnę wyprawiła Austrya cztery armie. Arcyksiążę Jan podążył do Włoch, generał Chasteller do Tyrolu, arcyksiążę Karol do Bawaryi. Arcyksiążę *Ferdynand d'Este* szwagier cesarza Franciszka ruszył na czele 33,000 armii i 94 armat do Księstwa Warszawskiego.

Przekroczywszy granicę Księstwa pod *Nowem Miastem* nad Pilicą (14 kwietnia 1809 r.) wydał arcyksiążę proklamacyę [2]) do narodu, w której tak przemawiał:

— Wchodząc do kraju przynosimy mieszkańcom Księstwa opiekę cesarza austryackiego przeciwko powszechnemu nieprzyjacielowi, jakim jest Napoleon i wzywamy, ażeby Polacy odstąpili od niego, ażeby nie popierali jego ambitnych widoków i nie ponosili dłużej tyle ofiar dla obcej sprawy!

Potem ruszył na Warszawę, odległą tylko o kilka mil, a po drodze przemawiał do narodu łaskawie, czule, nawet litościwie:

— O biedni, nieszczęśliwi Polacy za jakież dobro przelewacie krew nad Tajem? [3])

Czemuż mu kto wtedy nie odpowiedział dobitnie:

— O arcyksiąże niemiecki, tak zapytujesz, wszedłszy samowolnie w naszą ziemię z bronią w ręku, z wojskiem i armatami, a nie zapytasz, za co przelewaliśmy od lat tylu krew pod rządami waszymi i innych zaborców, którzyście nie tak bezprawnie rozszarpali ziemie nasze?!

W Warszawie wcale nie spodziewano się wojny. A choć wojsko Księstwa wynosiło około 30,000 ludzi i 6000 koni, większa część z tej armii walczyła w Hiszpanii, lub stała załogą w twierdzach niemieckich i krajowych (Modlin, Praga, Serock, Toruń, Gdańsk) tak, że tylko około 15,000 i to młodego, bo w znacznej części przed miesiącem zaciągniętego żołnierza można było mieć do walki. Króla już w Warszawie nie było,, rządy Księstwa spoczywały w rękach Rady Stanu, której przewodniczył Stanisław Potocki. Lecz na wieść o zbliżaniu się Austryaków rozległ się wśród Polaków jeden głos zapału:

— Bronić się do ostateczności!

---

[1]) *Andrzej Hofer*, dzielny góral tyrolski dzierżawił gospodę w górach, w dolinie Passeeir. Na czele strzelców obsadził przejscia i bronił się zwycięsko w wąwozach górskich. Ujęty przez zdradę w r. 1810 został rozstrzelony w Mantui. Przez Tyrolczyków czczony on jest jako największy bohater narodowy. — Encyklop. Macierzy pols. lwows.

[2]) *Proklamacya*, z łac., odezwa do ludu dla wywarcia wpływu.

[3]) *Tajo*, największa rzeka w Hiszpanii.

Rudyard Kipling.

Namgay Dula.

Przełożył **F. Ch.**

(Ciąg dalszy).

Słowa te odnosiły się do Namgay Duli, który, nie tracąc czasu, wskoczył na drzewną tamę i za pomocą bosaka skierował największą kłodę przednią, w ten sposób, że spłynęła, a za nią kilka innych. Woda przedarła się przez szczeliny. Wtedy wieśniacy, skacząc i krzycząc, rzucili się pomiędzy kłody i zaczęli przepychać uparte bale, a czerwona głowa Namgay Duli świeciła w pierwszym szeregu. Potężne pnie jęczały, uderzając się wzajemnie, w końcu zator spłynął wśród nieopisanego zamętu. Spienione fale zakotłowały, porywając drzewo i ludzi. Czerwona głowa to pokazywała się na powierzchni, to ginęła w nurtach rzeki. Wreszcie Namgay Dula uczepił się gałęzi, wyczołgał się na brzeg, stanął i dysząc, jak wieloryb, cały ociekły wodą oddał pokłon królowi.

Miałem czas dobrze mu się przypatrzeć. Z gęstwiny żywo czerwonych włosów, pokrywających twarz jego i głowę, połyskiwała para niebieskich oczu, tryskających wesołością. Kości policzkowe miał wystające. Chociaż Tybetańczyk z mowy, zwyczajów i ubioru, pochodził niewątpliwie z innych stron. Używał dyalektu „lepcza", chociaż dźwięki gardlane wymawiał miękciej, co jednak nie pochodziło ze złej wymowy, lecz ze sposobu akcentowania.

— Skąd jesteś? — zagadnąłem go zdziwiony.

— Z Tybetu.

To mówiąc, wskazał na góry i uśmiechnął się. Ten uśmiech poruszył mnie do głębi. Machinalnie podałem mu rękę, a on ją uścisnął. Tybetańczyk czystej krwi nie zrozumiałby mojego odruchu. Oddalił się, żeby się odziać i kiedy piął się ku swojej chacie, śpiewał dziwnie wesoło jakąś tryumfalną piosnkę.

— Widzisz teraz — rzekł król — dlaczego nie chciałbym go się pozbyć. To bardzo dziarski człowiek, chociaż wiem — dodał, kiwając głową, jak strapiony niesfornością dzieci bakałarz — że nie minie parę dni, a posypią się na niego skargi. Wróćmy do pałacu, bo godzina sądów nadchodzi.

Należało to do zwyczajów Radży sądzić poddanych codziennie od jedenastej do trzeciej. Usłyszałem kilka jego wyroków w różnych sprawach mniejszej i większej wagi. Wydały mi się sprawiedliwe królewskie orzeczenia i pełne umiarkowania. Naraz zasępiła się twarz władcy.

— Znowu Namgay Dula — wyrzekał z rozpaczą. — Nie dosyć mu na tem, że sam nie płaci podatku, ale jeszcze połowę swojej wsi namówił do podobnej zdrady i związał przysięgą. Nic mi się jeszcze podobnego w życiu nie przytrafiło, a przecie daniny, których wymagam, wcale nie są uciążliwe.

Jakiś młody wieśniak o twarzy królika, z czerwoną różą, zatkniętą za uchem, przystąpił do Radży, trzęsąc się ze strachu. Dał się wciągnąć do sprzysiężenia Namgay Duli, ale wszystko wyznaje, rachując na przebaczenie królewskie.

— O królu! — odezwałem się -- jeżeli wola twoja taka, odłóż tę sprawę do jutra rana. Bogowie tylko zdolni sądzić bez zwłoki i nieomylnie. Ten wieśniak mógł skłamać.

— Nie, bo znam usposobienie Namgay Duli, lecz ponieważ gość mój tak pragnie, odraczam wyrok, a zarazem proszę, przemówić surowo do tego cudzoziemca o czerwonej głowie, może potrafisz z nim dojść do ładu.

I Henryk Dąbrowski zorganizował powstanie narodowe, a książę Józef na czele 13,000 wojska wyruszył przeciwko nieprzyjacielowi. Dnia 19 kwietnia 1809 r. stoczona została jedna z najpamiętniejszych, zacięta i mordercza *bitwa pod Raszynem* [1]) gdzie jeden żołnierz polski walczył przeciwko trzem Austryakom. Szczególnem męstwem i nieśmiertelną sławą okrył się tu pułk dowodzony przez byłego Legionistę i poetę Cypryana Godebskiego. Lecz żal ogarnął całe wojsko, a potem naród cały, kiedy rozległ się w czasie bitwy smutny okrzyk:

— Pułkownik Godebski zabity!

Legło w tej krwawej bitwie ze strony austryackiej 2500 ludzi, Polacy liczyli 450 poległych, 900 rannych i 40 zabranych do niewoli [2]). Szczególne dowody niepospolitej waleczności i odwagi w czasie bitwy dał książę Józef, stojący w najtęższym ogniu; prawdziwie po bohatersku spełniali swój obowiązek wszyscy oficerowie, między którymi zajaśnieli niezwykłem męstwem Sokolnicki i Francuz Pelletier, dowodzący polską artyleryą. Polacy trzymali się też na placu boju przez dzień cały, nie straciwszy ani jednego sztandaru, ani żadnego działa, chociaż wskutek przeważających sił austryackich, wskutek niezaopatrzonych fortyfikacyi warszawskich, tudzież braku armat wałowych, niemożliwą już była dalsza obrona Warszawy. Ale honor armii był ocalony i ocalone zapasy warszawskie, wskutek niesłychanego męstwa wojska podniosła się odwaga i zapał ludności, a Austryacy zdziwieni i zatrwożeni taką dzielnością nielicznego wojska polskiego stracili zapał i śmiałość w działaniu [3]). Sam też arcyksiążę, nazajutrz po bitwie, zgłosił się do głównej kwatery polskiej z układami. Zawarta więc została honorowa kapitulacya, na mocy której wojsko polskie miało wyjść ze stolicy z bronią i wszelkiemi potrzebami, miasto wolne od wszelkiej kontrybucyi i zabezpieczona została całość osób i ich majątków (21 kwietnia 1809 r.)

Gdy arcyksiążę wjechał do Warszawy, rząd Księstwa przeniósł się do Torunia, a wojsko polskie przeszło na prawy brzeg Wisły, zajmując obronny trójkąt pomiędzy Pragą, Modlinem i Sierockiem [4]).

Utrata Warszawy nie wielką szkodę przyniosła Polakom. Austryacy wszedłszy do niej, stali się panami lewego brzegu Wisły, a nawet Praga, przedmieście Warszawy

---

1) *Raszyn*, wieś o milę na południe od Warszawy odległa.

2) Stanowisko pod Raszynem osłaniała w części rzeczka i bagniste niziny. Kluczem pozycyi był lasek pod Talentami, wsią, do której Raszyn należał. Lasku tego po bohatersku bronił generał Sokolnicki tracąc go i odbierając kilkakrotnym szturmem. O 5-tej po południu Austryacy opanowali Talenty i zwrócili całe swe siły na groblę, wiodącą do Raszyna. Przed przeważającemi ich siłami ustępowali zwolna Polacy, walcząc zacięcie o każdą piędź ziemi. Nieprzyjaciel przywitany nagle przez armaty saskie, przy których był ks. Józef, zatrzymał się przed płonącą wioską a nadchodząca noc wstrzymała tę morderczą bitwę. Była ona chlubną dla oręża polskiego i zaszczytną, tak dla naczelnego wodza jak i oficerów. — Sokołowski, IV, 1859.

3) Lewicki, 391, 392; Morawski, VI, 94, 95; Sokołowski, 1356—1359. Limanowski, 62, 68.

4) Austryackie wojsko, zajmując Warszawę, dla fantazyi ustroiło sobie gałązkami bluszczu kaszkiety, a do Wiednia poszedł zaraz następujący raport:

— Weszliśmy do Warszawy pośród nieustannych okrzyków licznie zgromadzonego ludu!

Oczywiście pośród małych gromadek ludu, ponuro przyglądającego się maszerującym Austryakom, nie znalazł się nikt, ktoby im powiedział prawdę:

— Nie chwalcież się i nie kłamcie Niemcy, bo witało was pod kolumną Zygmunta tylko 20 Żydów i garść Niemców półpruskich! — Morawski, VI, 96.

Jeszcze tego samego wieczora próbowałem dyplomatycznej misyi, ale pomimo najszczerszej chęci nie zdołałem do końca zachować powagi mentora, jak tego uroczystość chwili wymagała. Namgay Dula uśmiechał się tylko rozbrajająco i przerwał moje kazanie propozycyą wspólnego polowania na niedźwiedzia, który się miał ukryć wśród maku. Wymawiałem mu gorzko spisek, który uknuł i zachęcałem do skruchy. Zachmurzył się na chwilę i wkrótce wysunął się z mojego namiotu. Niezadługo usłyszałem, jak sobie wesoło nucił, maszerując pośród sosnowego lasu.

Nie rozumiałem słów pieśni, ale melodya i sposób wymawiania miękki i płynny dziwnie mi się wydały swojskie.

Dir nan mard-i-yemen dir
Tu uiri ala gi

intonował nie wiem, który raz Namgay Dula, a ja zadawałem sobie istne męczarnie, aby sobie przypomnieć zapomnianą melodyę.

Dopiero po obiedzie spostrzegłem, że mi odcięto kwadratową stopę czarnego aksamitu od najlepszego z moich aparatów fotograficznych. To mnie tak rozgniewało, że zeszedłem w dolinę, żeby wywrzeć zemstę na niedźwiedziu. Usłyszałem jego ryk podobny do kwiczenia rozłoszczonego wieprza, dochodzący z makowego pola. Ukryłem się w kukurydzy i czekałem na drapieżnika. Księżyc w pełni, zdawał się,iż wchłania rosę osiadłą na ciężkich kaczanach. Po chwili usłyszałem bolesny ryk himalajskiej krowy, zwierzątka mało co większego od psa z Nowej Fundlandyi i dwa cienie podobne do niedźwiedzicy ze swojem małem przemknęły koło mnie. Miałem wypalić, kiedy się spostrzegłem, że oba stworzenia mają czerwone głowy. Mniejsze zwierzątko ciągnęło za sobą jakiś przedmiot podobny do powrozu, który zostawiał czarne ślady na ziemi. Z wielkiem zdziwieniem zauważyłem także czarne płaty na twarzach zagadkowych postaci, ogromnie podobne do kawałków aksamitu, który mi skradziono.

Nie mogąc rozwiązać zagadki, poszedłem spać.

Nazajutrz rano zapanowało ogromne wzburzenie w całym kraju. Powiadano sobie, że Namgay Dula uciął w nocy ogon krowie owego wieśniaka o króliczej twarzy, który go był zdradził. Zamach na czczone zwierzę przechodził okropnością najgorsze zbrodnie. Racya stanu wymagała krwi bezbożnika, ale świętokradca ukrył się w chacie, którą poprzednio zatarasował olbrzymiemi głazami i urągał całemu światu.

Podeszliśmy z królem do improwizowanej fortecy, w otoczeniu wielkiej gromady ludu. Nie podobna było ująć przestępcy bez rozlewu krwi, gdyż z otworu w ścianie wyglądała lśniąca lufa dobrze utrzymanej strzelby, jedynej, zdolnej do użytku broni palnej w całem państwie. Właśnie w chwili naszego przybycia do fortecy, kula przeleciała jednemu z oblegających koło samego ucha.

Armia stała nie kwapiła się o pozyskanie tytułu ruchomej. Nie można jej z tego robić zarzutu, bo przy każdej próbie szturmu, sypał się na nią grad ostrych kamieni i od czasu do czasu strumień gorącej wody studził jej zapał.

Przez szpary domostwa widzieliśmy, jak się czerwone runa uwijały — to potomstwo Namgay Duli pomagało rodzicowi do utrzymania obronnej pozycyi. Dzikie okrzyki odpowiadały na nasze zaklęcia.

— Nigdy — rzekł król, do głębi wstrząśnięty — nic podobnego nie wydarzyło się w mojem państwie. Widzę, że na przyszły rok będę musiał kupić armatę.

— Czy nie ma w twojem królestwie, Radżo, jakiego wpływowego kapłana? — zapytałem, bo promyk świadomości zaświecił w mojej głowie.

— On czci swojego boga — odparł minister prezydent — nie ma innej rady, trzeba go wziąść głodem.

na prawym brzegu pozostała w rękach polskich[1]) przez cały czas wojny pod dowództwem legionisty Hornowskiego, jak Częstochowa pod dowództwem Stuarta, także legionisty. I daremnie usiłował arcyksiążę przejść na brzeg prawy, nie dopuścili go Polacy. A gdy polskie wojsko na prawym brzegu miało zupełną swobodę działania, a tylko z drugiej strony strzedz się musiało nieprzyjaciela[2]), arcyksiążę Ferdynand był w Warszawie z wojskiem jakby uwięziony wśród niechętnej, burzącej się ludności, wśród szerzącego się powstania.[3])

Gdy tak Austryacy siedzieli na lewym brzegu Wisły, rada wojenna armii polskiej naradzała się w Modlinie,[4]) i za radą Dąbrowskiego[5]) wydała takie ściałe rozporządzenie:

— Wkroczyć do Galicyi, oswobodzić ją z pod rządu austryackiego i tak wojnę odporną zamienić na zaczepną! Wzniecić powstanie w Wielkopolsce i przykuć niejako do Warszawy arcyksięcia, który na wieść o takich krokach sam będzie chciał opuścić stolicę!

(Ciąg dalszy nastąpi).

---

[1]) Arcyksiążę spostrzegł się zapóźno, że warunki kapitulacyi nie obejmowały przedmieścia Pragi na prawym brzegu Wisły. Gdy więc wojsko polskie niechętnie opuszczało Warszawę i zdjąwszy za sobą most łyżwowy z Wisły, zajęło fortyfikacye pragskie, przysłał arcyksiąże wezwanie:

— Żądam oddania Pragi lub w przeciwnym razie zacznę ją bombardować!

Na takie zgwałcenie neutralności książę Poniatowski z wystrzałem pompy przesłał oświadczenie:

— W takim razie ja nie będę szczędził stolicy moich królów, natychmiast ją zapalę i strzelać będę, a najprzód zbórzę pałac mój „pod Blachą"!

Taka energiczna odpowiedź powstrzymała wroga od dalszych zachcianek, a utrzymanie neutralności między stolicą a Pragą zapewnione zostało nowym układem (24 kwietnia 1809 r). — Sokołowski IV, 1360; Morawski VI, 96.

[2]) Granice ówczesnych posiadłości austryackich dotykały prawie Przedmieścia Pragi. — Morawski, VI. 97.

[3]) Lewicki, 394, 395; Morawski, VI, 96, 97.

[4]) Modlin, na północ od Warszawy przy ujściu Narwi do Wisły.

[5]) Jeżeli historya dawnych czasów ma być „mistrzynią" na przyszłość, to obok czynów bohaterskich naszych przodków, którymi się szczycimy i budujemy, należy też wymienić i wady, których w przyszłości unikać należy. Taką jest płytka zawiść i zazdrość. Buduje nas znana szlachetność Dąbrowskiego, który szczerze już pogodził sie z księciem Józefem i choć starszy od niego wiekiem a zwłaszcza rangą i więcej zasłużony, oddał się w tej wojnie pod jego rozkazy. (Sokołow. IV, 1360).

Ale na naradach w Modlinie objawiła się dawna zawiść generała Zajączka do księcia Józefa Poniatowskiego, który to Zajączek już przy tworzeniu się pułków wojska polskiego ciągle opierał się, wołając:

— Ja nie będę odbierał rozkazów od tego „książątka"! Ja jestem generałem francuskim, cesarzowi francuskiemu wszystko zawdzięczam, w nim tylko pokładam nadzieje moje i jego tylko słucham!

Przysięgi też wykonać nie chciał, nie uważając się za oficera polskiego i dopiero uczynił to na rozkaz Napoleona. W tym czasie wnosił do cesarza nikczemne oskarzenia przeciw księciu Józefowi, przeciw Stan. Kostce Potockiemu i innym, że są stronnikami Rosyi i dopiero Napoleon musiał poskramiać takie potwarze, lekceważąc naturalnie Polaków. Jaka szkoda, że Zajączek generał tak zdolny, waleczny i zasłużony, człowiek zasad postępowych, nie mógł zapanować nad sobą, nie mógł dla dobra ojczyzny pójść za przykładem szlachetnego generała Dąbrowskiego!

— Gdyby to od Zajączka zależało, — pisze naoczny, wiarogodny świadek — to całe wojsko byłoby haniebnie księcia odbiegło!

Ale szlachetny książe Poniatowski, jako wódz naczelny, dla miłości ojczyzny, a przez obawę sądów obcych, wytrwał w niepojętej prawie cierpliwości i przemógł tę ślepą zawziętość Zajączka. — Morawski, VI. 97, 98; Sokołowski, IV, 136a.

— Niech tu przyjdzie biały człowiek — zawołał z chaty Namgay Dula, — zabiję każdego innego! Przyślijcie białego człowieka.

Drzwi się otwarły i wszedłem do wnętrza tybetańskiej, dymnej chaty, pełnej dzieci o płomienistych czuprynach. Krowi ogon świeżo odcięty leżał na ziemi, a opodal dwa kawałki czarnego aksamitu, przykrojonego niezgrabnie w kształt maski.

— Co znaczy to zgorszenie — zgromiłem Namgay Dulę.

Uśmiechnął się jeszcze przyjemniej niż zwykle.

— W czem tu zgorszenie, sahibie? — rzekł. — Nic się wielkiego nie stało, nie wiem, dla czego mnie napadają. Uciąłem tylko ogon krowie tego zdrajcy.... Chciałem go postrzelić, ale nie zabić. O nigdy w życiu zabić! tylko w nogi wpakować mu nabój.

— Ale dla czego to wszystko? przecież wszyscy płacą podatek królowi.

— Na Boga mojego ojca, doprawdy nie wiem.

— A kim był twój ojciec?

— Ten, do którego należała ta strzelba.

Pokazał mi swoją broń, starą kapiszonówkę, z wyrytą datą 1832 r. i stemplem kompanii indyjskiej.

— Jak się nazywał twój ojciec?

— Timlay-Dula. Kiedy byłem jeszcze dzieckiem, pamiętam, że nosił czerwone ubranie.

— O tem nie wątpię; ale powtórz kilka razy wyraźnie nazwisko swego ojca.

Spełnił moje życzenie i zrozumiałem, skąd pochodził akcent, który mnie tak zaciekawił.

— Thimlay-Dhula — powtarzał z zapałem — jego bóg jest moim bogiem.

— Czy mogę zobaczyć tego boga?

— Za chwilę, jak tylko nadejdzie zachód słońca.

— Czy pamiętasz jakie słowo mowy swojego ojca?

— Bardzo nie wiele, ale pamiętam, że często mawiał „szen" *); wtedy ja i mój brat prostowaliśmy się i trzymaliśmy ręce przy sobie, tak jak teraz.

— Dobrze, już wiem. A kto była twoja matka?

— Kobieta z gór. Jesteśmy Lepczowie z Dardżilinu, ale mnie tam nazywają cudzoziemcem z powodu moich włosów.

Żona jego, Tybetanka, pociągnęła go lekko za ramię. Zbliżał się zachód słońca, chwila, w której wierni katolicy odprawiają Anioł Pański. Gromadka bębnów o czerwonych głowach, przybrała miny uroczyste i ustawiła się w półkole. Namgay Dula odłożył strzelbę, zapalił oliwną lampkę i usuwając brudną zasłonę, odkrył stary miedziany krucyfiks, oparty na blasze z hełmem, jakiegoś już zapomnianego regimentu kompanii wschodnio-indyjskiej.

— Tak robił mój ojciec — rzekł, żegnając się niezgrabnie.

W ślad za nim poszła żona jego i dzieci i potem cała rodzina zawtórowała mu do hymnu, który tyle razy słyszałem:

Dir hen mar-i-yemen dir
Tu uiri ala gi.

(Dokończenie nastąpi).



---

*) Ostatnia sylaba słowa attention (wym.: attenszen) znaczącego „baczność"!

Firmy polskie na prowincyi polecają się względom Sz. Czytelników.

Wolne miejsce.



Z bieżącej chwili.

Członkowie Koła Polskiego w parlamencie niemieckim.

I. W W. Księstwie Poznańskiem.

(Ciąg dalszy).

Poseł Maciej hr. Mielżyński

ur. 13. 10. 1869 r. w dziedzicznej wsi Chobienicach, w powiecie babimojskim, w W. Ks. Poznańskiem, uczęszczał do gimnazyum francuskiego w



Poseł Maciej hr. Mielżyński.

Berlinie i do gimnazyum w Lesznie; następnie słuchał przez dwa lata prawa w Monachium, pielęgnując jednocześnie tamże wybitny swój talent malarski. Potem wstąpił w stałą służbę wojskową i został oficerem w pułku pierwszym kirasyerów, a następnie wyuczył się agronomii i objął dobra po swym ojcu.

Poseł hr. Mielżyński, zasiadujący jako poseł w parlamencie niemieckim od r. 1903, należy do nader popularnych i bardzo sympatycznych osobistości. Nikt nie byłby ówczesnemu porucznikowi prorokował, że wyłoni się z niego jeden z najgorliwszych agitatorów polskich. Takim okazał się bowiem w okręgu międzyrzecko-babimojskim, gdzie dzięki jego pracy znaczny uwydatnił się przyrost głosów polskich, takim poznano go również w okręgu obornicko-szamotulsko-międzychodzko-skwierzyńskim, gdy bez pomocy centrum wywalczył sobie ponownie mandat poselski.

Młody, pełen zapału, bardzo zdolny i energiczny poseł — oby ziścił te nadzieje, które lud w nim pokłada.

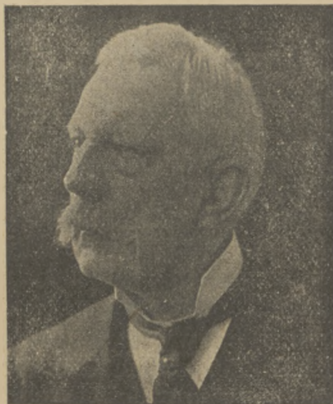
Hr. Mielżyński jest współwłaścicielem „Pracy“.

* * *

Poseł książę Ferdynand Radziwiłł

prezes Koła polskiego parlamentarnego i dziedziczny członek pruskiej Izby panów — jest obok posła Czarlińskiego najstarszym latami służby parlamentarnej posłem polskim.

Urodził się w roku 1834 w Berlinie jako syn księcia Bogusława Radziwiłła i księżnej Bogusławowej z domu hrabianki Clary Aldringen; jest zatem wnukiem pierwszego i ostatniego namiestnika W. Ks. Poznańskiego, ożenionego z księżną Fryderyką pruską, przez babkę więc jest spokrewniony z domem Hohenzollernów.



Poseł książę Ferdynand Radziwiłł.

Książę Ferdynand, ożeniony z księżniczką Pelagią Sapieżanką, posiada w Księstwie dobra Przygodzickie z Antoninem a na Wołyniu rozległe włości radziwiłłowskie: Ołyka.

Pomimo, że babka i matka księcia były Niemkami i przez to wpływy niemieckie oddziaływały na niego w młodości, a nadto chował się przeważnie w otoczeniu niemieckiem, książę Ferdynand zachował charakter Polaka.

Książę, poseł starej daty, zasiadający w parlamencie jako przedstawiciel okręgu ostrowsko-ostrzeszowsko-odolanowsko-kępińskiego od r. 1874, należy do najkonserwatywniejszych posłów polskich, o wybitnie katolickich tendencyach. Bądź jak bądź uważamy tego sędziwego potomka hetmanów za postać dodatnią w naszem życiu publicznem, a co więcej, za jednego z tych arystokratów, który idąc ręka w rękę z narodem, jako prawy syn Ojczyzny budzi ogólny szacunek.



Poseł Dr. Alfred Chłapowski.

* * *

Poseł Dr. Alfred Chłapowski

ur. dnia 5. 10. 1874 r. w dziedzicznej wsi Bonikowie, w powiecie kościańskim, w W. Ks. Poznańskiem; uczęszczał do gimnazyum św. Maryi Magdaleny w Poznaniu, następnie udał się na studya uniwersyteckie, którym się oddawał na uniwersytetach w Pa-

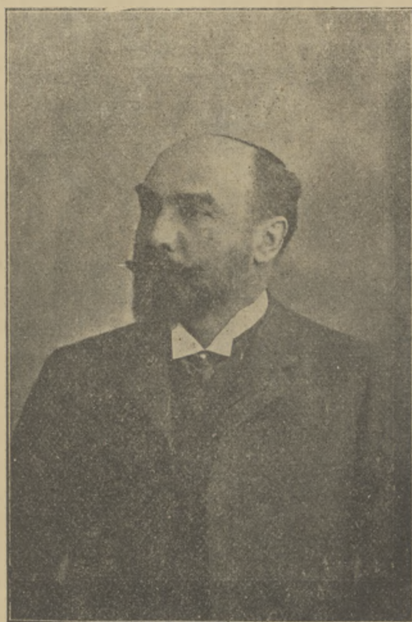
ryżu, Berlinie, Halli, wreszcie w Monachium, gdzie z odznaczeniem uzyskał stopień doktorski na fakultecie nauk ekonomiczno-państwowych; specyalnie zajmował się ekonomią polityczną, oprócz której słuchał prawa, historyi i filozofii. Uzupełniając swoją pracę doktorską, wydał w roku 1900 większe dzieło z dziedziny polityki agrarnej p. t. „Die belgische Landwirtschaft im XIX. Jahrhundert.“ Już podczas studyów uniwersyteckich odbywał częściej większe podróże w Europie: zwiedził Królestwo i kraje zabrane, był dłuższy czas we Francyi, poznał Hiszpanią, a najdokładniej Włochy, gdzie za pierwszą bytnością w Rzymie uzyskał prywatną audyencyę u Ojca św. Leona XIII. Następnie odbył długie podróże do Afryki i Małej Azyi.

Dr. Alfred Chłapowski zasiada od roku 1904 w parlamencie niemieckim jako poseł z okręgu średzko-śremskiego. broni dzielnie praw naszych z trybuny sejmowej, zajmuje się też żywo sprawami społecznemi i politycznemi pod hasłem przekonań ludowych. Dr. Ch. jest współwłaścicielem „Pracy,“ należy do założycieli Spółki w Kościanie, wydającej „Gazetę Polską,“ której jest prezesem, urząd ten piastuje także w Kółku rolniczem w Kościanie.

* * *

Poseł Dr. Leon Grabski

ur. 1. 7. 1853 r. w Skotnikach, w powiecie wrzesińskim, w W. Ks. Poznańskiem; uczęszczał do gimnazyum w Bydgoszczy, następnie był na akademii handlowej w Antwerpii, a po ukończeniu tejże kształcił się praktycznie w kupiectwie w Londynie, Warszawie i Królewcu. W roku 1882 należał do założycieli cukrowni w Gnieźnie, którą do dzisiaj kieruje.



Poseł Leon Grabski.

Poseł Grabski od 1903-go roku reprezentuje w parlamencie niemieckim okręg wyborczy gnieźnieńsko-witkowsko-wągrowiecki i zdaje się hołdować umiarkowanym zasadom.

* * *

Poseł Dr. Zygmunt Dziembowski

ur. 5. 10. 1858 w Warszawie, ukończył gimnazyum św. Maryi Magdaleny w Poznaniu, a studya uniwersyteckie w Wrocławiu. Od roku 1886 jest dr. Dz. adwokatem w Poznaniu, gdzie jako pierwszy z adwokatów polskich występuje publicznie na wiecach, a mianowicie w roku 1887 w sprawie



Poseł Dr. Zygmunt Dziembowski.

języka ojczystego w szkole. W roku 1889 zdobywa mandat do parlamentu niemieckiego po ś. p. Magdzińskim. W tym okresie poczyna też coraz częściej występować jako obrońca w procesach politycznych. Między innemi w r. 1890 prowadzi w Poznaniu obronę w wielkim procesie socyalistów (stud. med. Sławińskiego i spólników) w r. 1901 broni w Gnieźnie z wielką swadą obwinionych w sprawie wrzesińskiej, w r. 1903 Komitetu wrzesińskiego, a wreszcie w tym samym roku występuje w procesie o zajścia w Laurahucie.

W parlamencie początkowo dr. D. pracuje tylko w komisyach, dopiero od roku 1893 zabiera głos w plenum. Od tego czasu przemawia bardzo często. W r. 1896 zużytkowuje w parlamencie swe zdolności prawnicze, gdyż jako sekretarz komisyi dla kodeksu cywilnego stawił szereg poprawek, których znaczną część przyjęto. W tym czasie przemawia również niejednokrotnie przy generalnych obradach budżetowych. Wybitny udział bierze w interpelacyi polskiej w sprawie wrzesińskiej, a znaczny sukces odnosi w roku 1893 przez postawienie i uzasadnienie interpelacyi „Dziembowskiego i towarzyszy“ o ucisku Polaków w obrębie cesarstwa niemieckiego, co podnosi z uznaniem między innemi prasa francuska i włoska.

W roku 1903 wybrany posłem do sejmu pruskiego, zabiera często głos przy etacie spaw wewnętrznych, kultu, finansów, a mianowicie wybitny bierze udział nad osławioną nowelą kolonizacyjną.

Obecnie wybrany posłem do parlamentu niemieckiego w okręgu inowrocławsko - strzelińsko - mogileńskim w miejsce dra Krzymińskiego z Inowrocławia.

Nikt z pewnością nie zaprzeczy, że w dr. Dz., który także w sekcyi prawnopolitycznej „Straży“ położył nie małe zasługi, Koło polskie odzyskało znowu cenną, pierwszorzędną siłę.

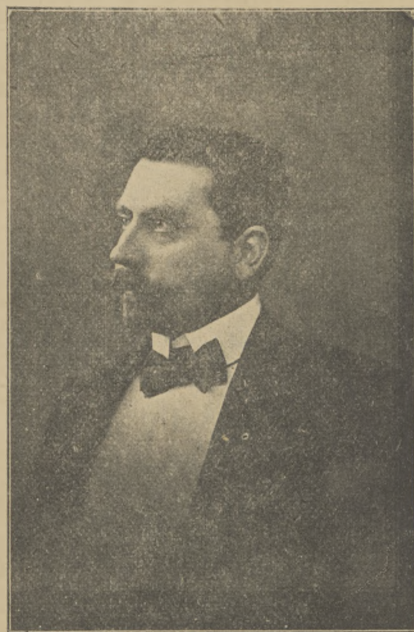
* * *

Poseł Władysław Kazimierz Seyda

urodził się w pamiętnym roku 1863 na kresach Wielkopolski w Łobżenicy, miasteczku położonem w powiecie wyrzyskim na t. zw. Krajnie. Kursa gimnazyalne odbył we Wałczu, gdzie w roku 1880 mając nieskończonych lat 17 złożył egzamin abituryencki. Po trzechletnich studyach prawniczo-ekonomicznych na uniwersytecie wrocławskim ,praktykował jako referendaryusz przy różnych sądach w Poznańskiem. W roku 1889 po złożeniu egzaminu asesorskiego rozpoczął praktykę adwokacką przy sądzie okręgowym w Krotoszynie. W roku 1891 przeniósł się do sądu ziemiańskiego w Poznaniu, od roku 1903 zaś praktykuje jako adwokat przy wyższym sądzie krajowym tamże.

Rozliczne zajęcia zawodowe nie pozwalały mu dotąd występować na szerszej arenie politycznej, co jednakże nie przeszkadzało mu brać żywego udziału w rozmaitych pracach publicznych. Jako obrońca występował w rozmaitych procesach politycznych i prasowych, między innemi w r. 1901 w wielkim procesie poznańskim przeciw akademikom Polakom o tajne związki. — W roku 1905 należał do założycieli „Straży“, na której pierwszym walnym wiecu jako jeden z głównych mówców przedstawił stanowisko prawnopolityczne Polaków wobec państwa pruskiego, poddając ostrej krytyce cały system pruski.

Mecenas S. wybrany dnia 13-go b. m. posłem do parlamentu w okręgu pleszewsko-jarocińsko-wrzesińskim w miejsce wybranego dnia 25-go z. m. jednocześnie także posłem do tego ciała prawodawczego w okręgu wyrzysko-szubińsko-żnińskim, p. Czarlińskiego, który przyjął mandat w wzmiankowanym okręgu, cieszy się ogólną sympatyą rodaków. W ostatnich wyborach do poznańskiej Rady miejskiej postawiony jako kandydat na Rycerskiej ulicy, uległ kandydatowi niemiec-



Poseł Władysław Kazimierz Seyda.

kiemu tylko nieznaczną większością głosów.

Okręg pleszewsko-jarocińsko-wrzesiński reprezentował w parlamencie od roku 1903 poseł do sejmu, p. dr. Antoni Chłapowski z Poznania.

* * *

Pierwszy parlament niem. zanim inne sprawy rozpoczął, przystąpił najprzód do rugów wyborczych. Przy tej sposobności przyszło, gdy poseł Motty wniósł, aby wybór p. Bethmana z okręgu wyrzyskiego unieważniono, między naszymi posłami Wł. Niegolewskim, Kaź. Kantakiem, a z drugiej strony kanclerzem hr. Bismarckiem i referentem p. Koehlerem do ostrego starcia. Kanclerzowi, który przy tej sposobności powiedział, „że naczelny prezes W. Ks. Poznańskiego do niego z zażaleniem napisał, iż polscy właściciele dóbr i niższe duchowieństwo wpływali groźbą i przekręcaniem faktów na wybory", odpowiedział Dr. Władysław Niegolewski: „zapewne nigdy ze strony Polaków, a mianowicie ze strony duchowieństwa nie przestrzegano takiej obojętności przy wyborach, jak tym razem. Nie chodziło nam o to, abyśmy wielu posłali, lecz o to, ażeby kilku wysłać, którzyby to uczynili, co w naturze rzeczy uczynić powinniśmy."

Przy głosowaniu przepadł wniosek posła Mottego wszystkimi przeciw głosom polskim. Koło ukonstytuowawszy się następnie i wybrawszy Pilaskiego prezesem, ponownie 8-go marca 1867 było zmuszone wziąć udział w dalszych obradach przy rugach wyborczych. Otóż zakwestyonowano wybór posła ks. Romana Czartoryskiego z twierdzeniem, że książę poseł nie jest poddanym żadnego z państw, należących do związku północno-niemieckiego. Dopiero gdy poseł St. Chłapowski oświadczył, że ks. Roman Czartoryski służył w 6-tym batalionie strzelców w Wrocławiu i pracował przez niejakiś czas przy tamtejszym sądzie miejskim jako referendaryusz, jako też, że liczy 25 lat wieku, został wybór jego uznany za ważny.

Dnia 18 marca 1867 roku przystąpił ostatecznie parlament do obrad nad projektem do konstytucyi związkowej. Z naszej strony przemawiali gorąco posłowie D. Wł. Niegolewski, Kazimierz Kantak, Motty i Teodor Donimirski; ostatni przemawiający przeciwko art. I, powiedział: „polscy wyborcy znali bardzo dobrze protest w sejmie zaniesiony i z wiedzą o nim żywy brali udział w wyborach. Jesteśmy Polakami i chcemy pozostać Polakami"; przeciwko nam wystąpili przedewszystkiem sam prezes ministerstwa hr. Bismarck, deputowany Saenger i Unruhe z Babimostu. Poseł Kantak motywując w ówczesnej dyskusyi stanowisko Koła, złożył protest piśmienny, który podpisało całe ówczesne Koło t. j. posłowie Pilaski, Jackowski, Kantak, Graeve, Szułdrzyński, Motty, Donimirski, Dekowski, Wegner, Niegolewski, Chłapowski i Czarliński i który to dokument marszałek Simson przyłączył do protokółu ówczesnego pamiętnego posiedzenia. Poseł zaś ks. Roman Czartoryski, nie mogąc osobiście stanąć na rzeczone posiedzenie, w odezwie publicznej z Paryża dnia 21 marca 1867 r. przyłączył się do protestu Koła. Mimo tego protestu posłów polskich, zapadła w parlamencie dnia 18-go marca 1867 uchwała przyłączająca W. Ks. Poznańskie i Prusy Zachodnie do Związku Północno-Niemieckiego. Wskutek tej uchwały rozjechali się nasi posłowie, zostawiając deputacyę z 3 posłów złożoną, która miała resztę powołać, ażeby wziąść udział w obradach końcowych nad projektem do konstytucyi dla Związku Północno-Niemieckiego. To też gdy 17-go kwietnia 1867 w parlamencie nad całością ustawy związkowej głosowano i marszałek przyjęcie tej ustawy ogłosił, zażądał poseł Kaź. Kantak głosu i następujące przeczytał słowa w imieniu całego Koła: „Po założeniu przez nas protestu przeciwko kompetencyi niniejszego zgromadzenia do wcielenia dawniejszych ziem polskich do związku północno-niemieckiego; po uchwalonem mimo to wcieleniu przez ostateczne przyjęcie projektu ustawy wyczerpaliśmy, głosując przeciwko przyjęciu ustawy, ostateczny środek zapobieżenia owemu aktowi przemocy i spełniwszy nasze zadanie, składamy mandaty." Po tem oświadczeniu grono posłów polskich pośród złowrogiego pomruku większości zgromadzenia, opuściło salę posiedzenia parlamentu, który też dnia następnego zamknięto mową tronową.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Ks. prob. Formanowicz z Modliszewka.
(Patrz artykuł „Nowa walka kalturna").



Ks. wikaryusz Maksymilian Mrugas z Babimostu.
(Patrz artykuł „Nowa walka kulturna").



Nowa walka kulturna.*)

I.

Sprawa ks. wikaryusza Mrugasa z Babimostu.

Dnia 31-go z. m. o godz. 9 rano rozpoczął się przed izbą karną sądu ziemiańskiego w Gnieźnie proces przeciw księdzu wikaryuszowi Maksymilianowi Mrugasowi z Babimostu o wykroczenie przeciw paragrafowi o ambonie (§ 130 a). Akt oskarżenia zarzuca mu, że w niedzielę dnia 23 kwietnia 1906 r. wygłosił kazanie, zawierające ostrą krytykę systemu szkólnego w prowincyach z polską ludnością. Powód do tego dała mu wizytacya ks. dziekana Mendlewskiego, który egzaminując dzieci w religii przekonał się, iż te w nauce religii bardzo mało korzystają. Dlatego wzywał rodziców, aby zakazali dzieciom *pobierania nauki religii w języku niemieckim.*

W dalszym ciągu kazania miał powiedzieć: *Przyjdą znów czasy walki kulturnej,* gdzie księży ciągnąć się będzie przed sądy i do więzienia. Przychodzili tu ludzie do kościoła, *aby co wyszpiekować. Mamy już dwóch* (czy 200) *zdrajców,* a będzie ich więcej, jeżeli rząd zacznie głośniej pobrząkiwać workiem. Przypuszczać należy, że o-

*) Pod powyższym nagłówkiem rozpoczynamy zamieszczać w dzisiejszym numerze jednocześnie z podobiznami zasądzonych księży, sprawozdania z odnośnych procesów, o których w swoim czasie tylko krótko referowaliśmy w rubryce p. t. „Wiadomości". — Przyp. Redakcyi.

skarżony pod mianem zdrajców miał na myśli znajdujących się w kościele *nauczyciela Grussa i Raitera.*

Jako świadków zawezwano na rozprawy obu nauczycieli *Grussa* i *Rajtera, ks. dziekana Mendlewskiego, p. Biegańskiego z Potulic i młynarza Rodego.*

Oskarżony oświadcza, iż rodzice mają dbać o to, aby się dzieci w domu religii uczyły po polsku. Mówiąc o zdrajcach nie miał na myśli Grussa i Raitera. Będąc na rekolekcyach w Poznaniu dowiedział się, że *rejencya otrzymała 200 denuncyacyi na księży od nauczycieli.*

Świadek nauczyciel *Gruss* zeznaje, że jego zdaniem ksiądz mówił o nauce religii w szkole, nie w domu. Zwrot o denuncyantach uważał za skierowany przeciw sobie i Raiterowi. Ludzie mieli na niego zacząć ironicznie patrzeć. Później nie chciano go wpuścić na chór. Sprawę tę poruszył przed radcą szkólnym; gdy tenże przedstawił ją proboszczowi, dostali ludzie od księdza ostre napomnienie. Na zapytanie obrońcy dowiadujemy się dalej, że bezpośrednio przed kazaniem był nauczyciel u oskarżonego, aby mu podziękować za półtoraletnie bezpłatne przygotowanie syna do gimnazyum. Lecz oskarżony miał go przyjąć bardzo chłodno. Ostatmi przeczy temu, podał nauczycielowi nawet rękę, lecz nie mógł się z nim długo zadawać, bo spieszył się do kościoła.

Świadek nauczyciel *Raiter* słyszał również, że ksiądz mówił o szkólnej nauce religii. Zwrotu o denuncyantach nie wziął sobie do serca, bo słyszał o 200. Nie zauważył, aby ludzie zaczęli zaraz na nich patrzeć. Dopiero później *stracili nauczyciele wszelkie poszanowanie u ludności,* przestano się im kłaniać, szeptano, że to oni winni zaprowadzeniu niemieckiej nauki religii, że otrzymują za to gratyfikacye i t. d. On sam otrzymał 200 mrk. „ostmarkenculagi.“

Oskarżony ks. Mrugas zaznacza, że dopiero wtedy wystawieni byli nauczyciele na nieprzyjemności, gdy się ludzie dowiedzieli o denuncyacyi księdza. Pogłoska, że on znajduje się już w więzieniu, wywołała nawet wielkie wzburzenie. Dalej stwierdza, że prócz dzieci nauczyciela niema w szkole żadnych „dwujęzycznych“ dzieci — a mimo to odmawia się modlitwę po niemiecku.

Ks. dziekan *Mendlewski* zeznaje jako świadek, że *egzamin dzieci z religii wypadł podczas wizytacyi jak najgorzej. Dzieci niczego prawie nie rozumiały. Winien temu fakt, że dzieci muszą się uczyć religii po niemiecku.*

Świadkowie *Biegański i Rode* prawie niczego sobie z kazania nie przypominają.

Na tem zamknięto dochodzenie, poczem prokurator w krótkiej przemowie wykazał winę oskarzonego, dla którego wniósł o miesiąc więzienia.

Po znakomitej mowie obrończej p. mec. *Karpińskiego, skazał sąd oskarzonego na trzy tygodnie fortecy.*

* * *

Sprawa ks. proboszcza Formanowicza) z Modliszewka.*

Następnie rozpoczął się o godzinie 11-tej drugi proces. Na ławie oskarzonych zasiadł ks. proboszcz Leon Formanowicz z Modliszewka. Oskarzenie zarzuca mu podburzanie do nieposłuszeństwa wobec zarządzeń państwowych przez rozdzielanie karteczek, protestujących przeciw niemieckiej nauce religii (§ 110) i omawianie spraw państwowych z ambony (§ 130 a) podczas kazania, wygłoszonego w Modliszewku dnia 14-go października r. z.

Na termin zawezwano 14 świadków oraz radzcę rejencyjnego dr. *Waschowa, jako rzeczoznawcę.*

Samo się przez się rozumie, że głównym świadkiem jest znów nauczyciel. Nauczyciel *Herman (dawniej Hermanowski czy Hermański)* był na wzmiankowanem kazaniu, i zaraz po kazaniu *pospisywał sobie,* co ksiądz na kazaniu mówił. Uważał to za swój obowiazek „dbać o szkołę“ w ten sposób. *Żadnego nakazu do śpiegowania księdzc nie dostał.* Następnie zeznaje, że otrzymał w szkole wiele karteczek, z których kilka pisanych było ręką ks. Formanowicza.

Następni świadkowie nie zeznają żadnych ciekawywch szczegółów. Z zeznania rzeczoznawcy dr. Waschowa dowiadujemy się, że w Modliszewku chciano zaprowadzić od Wielkanocy 1906 naukę religii w języku niemieckim na mocy uchwały rejencyi, powziętej w marcu — lecz odstąpiono od tego zamiaru z obawy za wielkiego obarczenia nauczyciela pracą i dla braku innych sił nauczycielskich.

Z świadków *niezaprzysiężono tylko organistę p. Rekowskiego,* jako podejrzanego o współudział.

Prokurator wnosi o trzy tygodnie więzienia za każde z obu przewinień — razem 5 tygodni więzienia.

Pa krótkiej mowie obronnej p. mec. Karpińskiego, która zdaniem mówcy zupełnie jest bezcelowa, *skazuje sąd ks. Formanowicza na karę dwóch tygodni więzienia za każde z obu przewinień, razem na trzy tygodnie więzienia.*

**) Ks. proboszcz Formanowicz, zacny kapłan-patryota, jest autorem pięknego artykułu, zamieszczonego w dziale illustrowanym w numerze 47-ym „Pracy“ r. z. p. t. „Pamięci Adama Mickiewicza“. — Przyp. Redakcyi.



Z wędrówki
po Królestwie Polskiem.

Powiat Będziński.
(Ciąg dalszy).

Odsłaniać się zaczęły baszty i ruiny starego zamczyska Olsztyńskiego na tle horyzontu, i zdawało się, że szczyty sięgają niebiosów: — widok ten przerwał wątek mych myśli i refleksyi, a całą uwagę zwrócił i przykuł do wspaniałego i poważnego obrazu, rysującego się coraz jaśniej przed oczami.

Wózek toczył się wolno po głębokim piasku, który otacza maleńkie miasteczko, — niecierpliwość moja rosła, pragnąłem bowiem jak najprędzej stanąć na szczytach skał, na basztach i ruinach, i nacieszyć się wspomnieniami historycznemi, tak drogiemi dla każdego. kochającego własną rodzinną ziemię... Nareszcie wózek się zatrzymał; wyskoczyłem, i pobiegłem w górę.

Miejscowość, na której wznoszą się te stare ruiny zamczyska, poszczerbione zębem czasu, najeżone i pomięszane są ogromnemi skałami, co razem, robi wrażenie olbrzymiego labiryntu. Skały te połączone były dawniej murem i musiały w ubiegłych wiekach być groźną warownią. Podług podania ludu tutejszego, mają w podziemiach ukrywać się skarby, do których prowadzą drzwi i bramy żelazne, a także, że od czasu do czasu w nocy, wydobywają się z pod ziemi grobowe dźwięki łańcuchów.

Zmęczony, usiadłem na odłamie baszty i przedewszystkiem rzuciłem ciekawy wzrok na otoczenie, i mimowoli zdumieć się musiałem i podziwiać pracę naszych praojców, co umieli tak monumentalne wznosić gmachy, które jeszcze po tylu wiekach, po tylu burzach i gromach — w końcu ogołocone i obdarte ze wszystkiego, coby mogło chronić od deszczu, mrozów — i wandalizmu ludzkiej ręki — choć nagie obdarte, pokaleczone — stoją dumnie, i każą nam pigmejczykom chylić kornie czoło i podziwiać te imponujące ruiny...

Zaspokoiwszy pierwszą ciekawość,

puściłem wodze wspomnieniom, które jak w kalejdoskopie przesuwały się szybko po mej głowie, zmieniając co chwila obrazy. Przypominały mi się wszystkie przeczytane niegdyś opowieści, notatki kronikarzy — i wszystko to razem sprawiło, że zostałem formalnie zahypnotyzowany i przeniesiony w dawne zamierzchłe czasy; — zdawało mi się, że wspólnie z praojcami czuję, cieszę się, bawię — płaczę i walczę...



Obrona Olsztyna 1587-go roku.

Przedstawił mi się ten mały zameczek, który na skalistem wyniosłem wzgórzu był zbudowany, pewno jeszcze wtedy, kiedy tutejsi mieszkańcy, żyjąc patryarchalnie, uprawiali rolę, zajmowali się myśliwstwem i rybołówstwem — nie czuli jeszcze potrzeby i popędu do mordowania bliźnich... a jednak wznieśli go tutaj, broniąc się już od łupieży sąsiadów.

Z biegiem czasu, gdy przeżył się czas patryarchalny, gdy naród stawiać zaczął pierwsze kroki na kartach dziejów, i gdy chciwe łupów Ślązaki coraz częstsze zagony w kraj nasz zapuszczać poczęły — znacząc zaborczy swój pochód krwią i pożogą, Kazimierz Wielki wznieść kazał tu mocną warownię, która miała być postrachem i strzedz od napadów tak niebezpiecznych.

Ileż wtedy musiało być tu życia?... Przed oczami mej duszy — lśnią od złota i purpury, odziani w bogate szaty dygnitarze państwa, rycerstwo i szlachta, którzy otaczają wielkiego króla wstępującego w bramy wspaniałego zamku — roi się od tłumów ciekawych — z całej okolicy przybył lud, aby powitać ukochanego swego ojca i monarchę — słychać szczęk oręża, gwar; widzę te poważne lica — sędziwych i surowych kapłanów.

A na dole przed zamkiem — gdzie obecnie stoi cicha, nędzna mieścina — tumult, nawoływania, śmiech i śpiewy wesołej czeladzi, przybyłej ze swymi panami, lokującymi tu tabor i konie.

Nowe widzenie — nowy, jaskrawszy obraz oczom się moim przedstawia. — Wybiegam na taras zamkowy, mięszam się z tłumem — (a było to w 1358) — i widzę męża silnej budowy, z wyniośle podniesioną dumnie głową, o pięknem obliczu, okolonem długą brodą — związanego i otoczonego hufcem zbrojnych rycerzy, którzy prowadzą go do podziemnych lochów zamczyska.

Jest to głośny w owe czasy — a tak często w literaturze naszej, w powieści, dramacie, i poezyi opiewany — Maciej Borkowicz, *) wojewoda poznański — którego król kazał uwięzić za popełnione rozboje — a jak utrzymuje J. Szujski — miał być on pierwszym twórcą konfederacyi szlacheckiej w r. 1352.

Nie chcę być jego sędzią, bo go osądził Ten, co w niebiosach przebywa — cierpię wspólnie z tym nieszczęśliwym, który w głębokich podziemiach wieży, nie mając nic prócz wody i wiązki słomy na posłanie, z głodu — jak kroniki wspominają — własnem ciałem się żywi...

Odczuwam te straszne jego cierpienia moralne, które stokroć musiały być sroższe od cierpień fizycznych, zanim śmierć przecięła pasmo tych mąk bezgranicznych...

I znowu nowy obraz zaciera przygniatające przed chwilą widzenie.

Do zamku Olsztyńskiego zjeżdża nowy pan i dziedzic, Władysław książę Opolski, któremu Ludwik węgierski w 1370-ym, nadaje lennem prawem, jako siostrzeńcowi swemu.

Zamek wre życiem — ciągną ze stron dalekich szeregiem długim znakomici goście; — zabawy, polowania, uczty, przechodząc w końcu w orgie.

Dumne książątko popełnia bezprawia i nadużycia, napada i obdziera jadących kupców z towarami, w końcu przebrała się miarka i sam Jagiełło zjawia się z wojskiem, aby go ukarać, i po tygodniowem oblężeniu zamek zdobywa w r. 1396.

W r. 1488 Kazimierz IV. pozwala u podnóża zamku założyć miasto Olsztynek, i w tym celu obdarowywa 140 łanami, z których dwa przeznacza pod mający się budować kościół, a cztery dla dziedzicznego wójta, Pawła ze Szczekocin, który był jednocześnie dzierżawcą zamku. Miasto się wznosi i przez lat blizko dwieście zażywa spokoju.

Rok 1587 daje nam jeden z bohaterskich epizodów tak zamku, jak i tych, którzy własnemi piersiami zasłaniali go i bronili.

Surma bojawa się zbliża. Szczęk broni, tentent kopyt końskich, uginających się pod rycerzami zakutymi w ciężkie zbroje — gwar, śmiech, śpiew, złączone ze rżeniem koni, dobiega do uszów garstki polskiej załogi, która zamknięta w zamku, ma bronić go do wylania ostatniej kropli krwi, a tej garstce przewodzi Kacper Karliński.

Stronnicy Maksymiliana, arcyksięcia Rakuskiego, oblegli zamek, a nie mogąc zdobyć go siłą, ani namowami i obietnicami skłonić Karlińskiego do poddania się, wymyślili iście szatański fortel.

Pochwycili maleńkiego synka Karlińskiego, który był przy matce w okolicy, i przypuściwszy szturm ostatni, kazali piastunce nieść dziecko i iść naprzód przed szeregami, pewni będąc teraz zwycięstwa. Ten niesłychany w dziejach bohaterski moment przenosi mnie w owe ubiegłe czasy. Widzę zamek, który obecnie stoi ruiną i świeci pustkami — wtedy silny, najeżony bronią; widzę te sympatyczne w dziejach naszych oblicze, więcej niż bohatera — Karlińskiego. Spostrzegł odrazu swe jedyne dziecię na czele wroga. Czuję z nim wspólnie tę boleść, tę straszną rozpacz, tę walkę między ojcowską miłością, a poświęceniem i obowiązkiem. Łzy mimowoli cisną mi się pod powieki bo prawdopodobnie uczucie ojca musi zaciążyć na szali czynu jego. Bóg i człowiek przebaczyć mu to muszą. Widzę — stoi Karliński na wałach wyprostowany, jak zaklęty w bryłę kamienną, nierucho-

*) Patrz illustracyą albumową.

mą; — słyszę śmiechy, żarty, naigrawania, i pewność zwycięstwa wroga. Wtem bryła drgnęła. Jedna ręka podnosi się w górę z zapalonym lontem, gdy jednocześnie drugą obciera oczy, które mu łzy przysłaniają, szybko odejmuje ją od załzawionych oczów, i kładzie nią krzyż zdaleka nad główką

że długo obchodziłem mury i nie czułem ani znęczenia, ani chęci opuszczenia zamku.

Dla zaokrąglenia opowiadania, muszę jeszcze wspomnieć o tutejszym kościele, który zbudowany był, po większej części z rozwalin zamkowych, w r. 1722 przez księcia Jerzego Lubo-



Grono naczelników i przodowników z gniazd łużyckich, zebrane od dnia 28 do 31-go grudnia 1906 r. w Złokomorowie na Łużycach z okazyi kursu gimnastycznego.

Kaźmierczak, Januszek (zast. nacz.), Wrzesiński (naczelnik), Śpik, Kubiak, Larek, Grabowski, Kozal (naczelnik).

Szymkowiak, Hojecki (zast. nacz.), Konieczka (naczelnik), Jarosz (zast. nacz. okr.), Nadobny (naczelnik), Matuszewski (zast. nacz.), Kamiński, Marszałek.

ukochanego swego dziecka-męczennika, tę zaś, w której lont zapalony trzyma, przykłada do działa... Obowiązek i miłość kraju zwyciężyły miłość rodzica... Błysk, grom, ziemia poruszyła się w posadach od huku strzały i wkrótce ciemna chmura dymu i piasku rozwiała się, ukazując martwe zwłoki niewinnego dziecka, ale jednocześnie i tłumy zabitych i rannych wrogów — bo załoga zagrzana męstwem i poświęceniem swego wodza, słała także zapamiętale strzały. Cezaryanie, — jak zwie ich Bielski — z wielkiemi stratami zmuszeni zostali do odwrotu.

Wstałem — ukląkłem — być może na tem samem miejscu, gdzie bohaterska przed laty spełniona została ta krwawa ofiara — i za duszę Kaspra Karlińskiego, i za małe jego niewinne dzieciątko zmówiłem głośno „requiem aeternam!...“

Świetność zamku chyli się odtąd ku upadku, a lustracya w r. 1660 wspomina, że zamek jest znacznie zniszczony i nadwerężony, i coraz więcej do ruiny się kłoni. W r. 1789 Olsztyn był w posiadaniu Stanisława Sołtyka, podstolego koronnego. Tyle tu wspomnień, tyle pamiątek, prawie co krok,

mirskiego i Wojciecha Męcińskiego, a poświęcił go Wessel biskup inflancki.

O ćwierć mili od Olsztyna, nadzwyczaj ciekawa jest pieczara we wnętrzu gór; zdaje się, że można ją zaliczyć do wyjątkowych utworów natury. Przez mały otwór wchodzi się do czterech salonów, w każdym z nich coraz odmienne grupy stalaktytów, jedna podobna do kształtu organów, inne mają podobieństwo do ambony i t. p. Obszerne te groty zwężają się i sądzić można, że dalej przejść niepodobna, gdy w tem rozszerza się pieczara i nowe znów odsłaniają się widoki.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Złote listki.

Miłość wiąże jednostki i całe społeczeństwa.

* * *

Nie piękność i stroje zdobią człowieka, lecz serce wielkie i prostota.

Z pieśni o ziemi naszej.

Wielkie domy zagranicą,
A w nich ciasno choć nie ludno;
U nas mury się nie świecą,
A o kącik nie tak trudno.
Ledwo człekby czasem wierzył,
Dom niewielki, — wtem gość wchodzi;
Ot, i domek się rozszerzył,
I wnet miejsce gdzieś się rodzi.
Przybył drugi i dziesiąty,
I nie ciasno jest nikomu,
Wyprzątnięto wszystkie kąty,
Coraz szerzej w małym domu,
Zda się, że pan domu sobie
Ścian i miejsca gdzieś przysporzył.
A on tylko w domu tobie
Drzwi i serce swe otworzył.
I ta strzecha choć uboga,
Chociaż niska — przecie blizka,
Dla obcego i dla swego,
I od Boga aż do wroga,
Jest tu miejsce dla każdego.

A dopieroż to przyjęcie,
Jakie bywa w polskim domu!
Jak tam każdy poczczon święcie,
Jak nie braknie nic nikomu!
W dzień wesoło, w noc rzęsisto.
Biało, gładko, potoczysto,
Czeladź syta i okryta,
Wszystko w czasie urządzone,
Przymaszczone, osłodzone;
Indyk kruchy, kapłon tłusty,
I do tego dzban nie pusty.
Jest czem serce rozweselić,
Jest się wszystkiem czem obdzielić.
Choć przyjęcia najłaskawsze,
Jest mis parę, parę dzbanów
Zostawionych jeszcze zawsze,
Dla zagórskich panów.

Lecz gdy rzucisz stoły hojne
I pominiesz dworską bramę,
Ściany jakby nie te same,
Znowu ciche i spokojne.
Przed świętymi lampa płonie,
Na kominku ogień strzela,
A tem światłem czasem spłonie,
Po nad łożem karabela.
Gdy zawcześnie do spoczynku,
A Bóg nie dał w dom sąsiada,
Osiwiała para siada
Do marjasza przy kominku,
I jegomość kartę łaje,
A z czterdziestu jejmość zdaje.

Wszystko cicho, nic nie szaśnie,
Czasem tylko warta wrzaśnie,
Albo kotki załopocą
Lub panienki zachichocą.

Wincenty Pol.



Orły polskie.

(Ze zbiorów Jana Matejki).

Znakomity mistrz malarstwa, Jan Matejko, zasłużył się krajowi swemu nietylko szeregiem arcydzieł, budzących podziw i uwielbienie w świecie całym, ale także zbiorami pamiątek historycznych, cennych zabytków przeszłości. Dom Matejki w Krakowie, będący obecnie własnością publiczną, a zamieniony w Muzeum, jest jedną



Orzeł z czasów dynastyi Wazów.

z osobliwości cennych dla wszystkich, którym drogie są wspomnienia przeszłości polskiej.

Pomiędzy rozmaitemi przedmiotami znajdującemi się w muzeum owem, widzimy tam liczne szkice i rysunki, będące kopiami starodawnych pieczęci i herbów. Jest wśród nich także zbiór orłów polskich w najrozmaitszych postaciach, jakie zmieniały się w ciągu wieków.



Orzeł Stefana Batorego.

Kiedy orzeł stał się godłem państwa polskiego, — rozmaite pod tym względem panują zdania. Jedna z legend opowiada, że Lech przybywszy do Polski, znalazł gniazdo orłów w okolicy dzisiejszego Gniezna, założył tam miasto i orła za herb sobie przybrał. Legenda ta niezgodna jest z rzeczywistością, choćby dlatego, że w owych czasach, gdy fantastyczny Lech mógł przybyć do Polski, wcale jeszcze herbów nie używano, Gniezno zaś nie wywodzi nazwy swej od „gniazda“, lecz od „posiadłości kniazia“, i dawniej „kneznem“ się zwało.

Stwierdzonem zostało, że orła za herb używali wszyscy książęta, należący do rodziny Piastów. Był to ich herb osobisty. Dopiero Przemysław,



Tarcza z orłem w kaplicy Zugmuntowskiej w Krakowie.

który po długiej przerwie pierwszy przyozdobił swe skronie koroną królewską, począł używać orła jako herbu państwa, przezeń w jedną całość połączonego. Orły zatem, napotykane na zabytkach, pochodzących z czasów przed Przemysławem, są niejako własnością, a raczej godłem książąt Piastowiczów.



Orzeł z grobowca Kazimierza Jagiellończyka Wita Stwosza.

Do najstraszych godeł z orłem należy pieczęć Leszka Białego. Prawdopodobnem jest też przypuszczenie, że właśnie Leszek, — nie zaś Lech — jest twórcą tej oznaki, tak drogiej sercu Polaków. Po Leszku, księciu małopolskim, przybrali orła za swe godło książęta wielkopolscy, śląscy, mazowieccy, poczem Przemysław zaczął używać go jako herbu całego państwa.

Każdy z panujących zmieniał wy-



Tarcza połączonych orłów z pogonią wraz z herbami szwedzkiemi i snopem Wazów, w kaplicy Wazów w katedrze krakowskiej.

gląd orła — herbu, stąd też mamy tak liczne i rozmaite postacie orłów polskich. Im dawniejsze, tem bardziej mają one kształty fantastyczne. Z biegiem czasu starano się nadać im kształty bardziej zbliżone do naturalnych. Po kształcie też orła heraldycy rozpoznają łatwo epokę, z której pochodzi.

Litwa.

Poprzysięgam ciebie, Litwo,
Poprzysięgam ciebie, Wilno,
Klątwą, pieśnią i modlitwą,
Wskrzesitelną, nadmogilną,
Poprzysięgam ciebie, Litwo!
M. Konopnicka.



Orzeł Zygmunta Augusta.

Takiemi słowy rozpoczyna natchniona poetka akt utwierdzenia wiekopomnej unii z Litwą, jaki się dokonuje obecnie w społeczeństwie polskiem i w znacznej części litewskiego. Bo na Litwie ostatnimi czasy podniosły się głosy przepojone nienawiścią do kilkuwiekowej przeszłości, owiane niedobrym duchem nacyonalizmu, głosy, domagające się rozłączenia tego, co Bóg i dzieje złączyły. Należało zatem przypom-



Orzeł w drzwiach ganku zamku krakowskiego.

nieć tę dawną i niedawną przeszłość, postawić ją przed oczy dzisiejszym działaczom, i czynom a słowom współczesnym dodać mocy, która płynie z aktów w Horodle i Lublinie.

Zadania tego podjęła się redakcya „Tygodnika illustrowanego“, poświęcając cały swój ostatni numer... Litwie. Fakt sam okolicznościowego wydawnictwa jest zdarzeniem niewielkiem, literackiem, ale gdy w tem wydawnictwie wypowiadają się ludzie, do zabierania głosu w najdonioślejszych kwestyach uprawnieni, to i wydawnictwo samo nabiera ogólniejszeego znaczenia.

Wypowiedziała się więc Marya Ko-

nopnicka prześlicznym wierszem na rozstajnej drodze stawiając chwilę rozwagi:

Zanim złamiesz pierścień krwawy,
Co twej wiary złotem błyska,
Idź na wielkie pola sławy,
Idź na wspólne bojowiska!
Przez okopy gdzieś, przez szańce,
Od Grunwaldu aż do Pragi,
Idź przez starych dziejów krańce
. . . .

Po historycznych wspomnieniach Artura Oppmana (od Horodła do Reytana) i Henryka Mościckiego (od Reytana do Murawiewa) wypowiedział się także H. Sienkiewicz nowelą „Dzwonnik", poświęconą Elizie Orzeszkowej „w hołdzie dla jej talentu i obywatelskich zasług".

Treścią tej noweli jest spotkanie ze starym Litwinem, który po walkach i burzach żywota osiadł na starość przy kościele katedralnym w granicach Królestwa polskiego i tęskni za swoją Litwą:

— „To tak, panie, jak bywało zimą po lasach w sześćdziesiątym trzecim roku. Przykryjesz się w nocy kożuchem, podścielesz się płaszczem, twardo ci, podścielesz się kożuchem, przykryjesz się płaszczem, zimno ci. I tak źle i tak niedobrze. Zawsze coś dolega! Bo co swoje kąty, to swoje. Jużci i tu swoi. Ale, inszy choć do sąsiedniego powiatu dapolezie, to już mu obce, a tu, panie, daleko, daleko!.... Więc, jak człowiek sobie pomyśli, że już nigdy w życiu nie obaczy ni tamtejszego pola, ni boru, ni chaty, ni człeka i że nie tam pod krzyżem kości jego spoczną, to jakby mu kto rękę pod żebra włożył i serce ścisnął. Nie ciśnij-że ty, żalu, nie ciśnij! bo i tak lata już cisną".

Jedyną pociechą staruszka-dzwonnika, są dzwony:

— „Dla tego, że głos dzwonów idzie, panie, daleko i na wszystkie strony się rozchodzi. Ludzie już go nie słyszą, a on leci i leci przez powietrze, bo takie już ma pozwolenie, żeby aż do nieba dolatywał. No, to ja tak sobie myślę, że jak zamrę, to mi zadzwonią, a jak zadzwonią, to Bóg miłosierny, nim duszę na sąd wezwie, może jej pozwoli, żeby z tym oto głosem poleciała na naszą Litwę i pobujała nad nią choć z dzionek, jak ta siwowronka nieboga albo ta jaskółka, co aż z za morza przylatuje. Bóg miłosierny! pozwoli choć pożegnać i przeżegnać...."

Imiona miały swoje wszystkie dzwony ale najmilszą ta stara sygnaturka „Terka", którą nazwał od imienia dawniej kiedyś tam bardzo ukochanej, ale dla ubogiego szlachetki niedostępnej panny. W ten sposób opowiedział dzwonnik całą historyę swego życia, aż do chwili gdy się od swego synowca Tadzinka dowiedział, „jak się naród litewski rozbudził, jak Litwini nawet i w niektórych szlacheckich okolicach nie chcą być Polakami, jak się mowa litewska, wszystko, rozwija, jak drukują się po litewsku książki i gazety, jak już z kościołów niektórzy księża wypędzają polskie nabożeństwo — i tak prawie do obiadu gadał, a że gorąco było, to aż się spocił, bo mnie chciał koniecznie przekonać i nawrócić, a ja tylko słuchał i słuchał.

— A potem co?

— Potem my siedli jeść i nie mówili do siebie nic, tylko ja, wszystko, rozmyślał nad tem, com słyszał. Skończywszy obiad, poszedł on spać, bo dwie noce jechał, a ja jeszcze rozmyślał. Dopiero wieczór, gdy przyszło dzwonić, wziął ja go ze sobą na wieżę i, oddzwoniwszy swoje przystępuję do niego niespodzianie i mówię: — Jakoż myślisz? dla czego ja się bił i wisiał w sześćdziesiątym trzecim? czy nie dla tego, żeby Litwa była wolna — a? A jakby ona była wolna, czy to nie znaczy, że każdy miałby wolność być, czem chce. Tak czy nie? A kto się wtedy bił wraz ze mną? czyja się krew lała po lasach i po polach? kogo więzili, kogo zsyłali, kogo wieszali, komu zabierali, panie, majątki? — tobie? Tak ty nie śmiej wojować z tym, kto za ciebie krew lał. Budzi się, mówisz, naród litewski? to chwała Bogu! chcesz po litewsku gadać? gadaj! chcesz mieć książki, chcesz mieć szkoły i nabożeństwo? — miej. Ten, co krwi dla cię nie szczędził, jeszcze ci dopomoże, ale ty jego nie kąsaj, bo on razem z tobą jęczy, razem z tobą cierpi i razem z tobą o swoje się prawo upomina. A cóż ci to on? — osztrafował twoje litewskie słowo, tak jak Murawiew, polskie? zsyłał cię w katorgę za twoją litewską duszę? A wspomniej ty dawne czasy: kto cię ochraniał? kto cię oświecił, kto cię Niemcu, panie, wrogowi z gardła wyrwał? Ale ja ci powiem, dla czego ty z nim dziś wojujesz. Ty z nim wojujesz dla tego, że ty jego najmniej się boisz, bo on nie ma Sybiru, ni bata. Z innymi trudniej, z nim łatwiej, więc ty — haj-że na niego, choć on twoja krew i twój brat! A jeśli tak, to ty zły i durny. Grzech także łatwiejszy, niż każdy uczciwy uczynek...."

Oprócz powyższej noweli, znajduje się wśród kwiatów rzuconych w stronę Litwy, także prześliczny ustęp Emmy Jeleńskiej, komentarz do ilustracyi, wyobrażającej wnętrze gabinetu Murawiewa Wieszatela, według współczesnej fotografii i wiele innych artykułów, tchnących umiłowaniem do Litwy, Ojczyzny, która jest... „jak zdrowie."



Z dziedziny odkryć i wynalazków.

Fotografia telegraficzna.

Profesor dr. Korn zbudował w ostatnich latach nader pomysłowy przyrząd, za pomocą którego można przesyłać drogą telegraficzną na znaczną bardzo odległość wizerunki fotograficzne. Pierwsze doświadczenia przeprowadzał dr. Korn w laboratoryum elektrycznem Carpentiera w Paryżu, a Caillet zdawał sprawę z tych doświadczeń w Akademii nauk w r. 1903.

Wizerunek, przyrządem Korna przesłany, odbija się szeregiem kresek równoległych. Na stacyi wysyłającej lampa elektryczna koncentruje promienie z pomocą soczewki, na małym otworze w powierzchni cylindra metalowego. Wewnątrz tego cylindra znajduje się drugi szklanny, owinięty fotografią, która ma być przesłana. Fotografia odbijana jest na błonach tak, że światło przechodzi przez nią w większej lub mniejszej mierze, stosownie do światłocieni (diapozytyw).

Cylinder szklanny obraca się, w miarę obrotów więc każdy punkt fotografii przesuwa się przed promieniem świetlnym lampy. Przeszedłszy przez fotografię, promień pada na płytkę selenu, włączoną w przewód telegraficzny. Selen, jak wiadomo ma tę właściwość, że stosownie do siły naświetlenia, lepiej lub gorzej przewodzi elektryczność. Zgodnie ze światłocieniami, krążą w przewodzie słabsze lub silniejsze prądy i w tym stanie dostają się na stacyę odbierającą. Na tej stacyi znajduje się źródło świetlne, którego promienie, skoncentrowane soczewką, wpadają do podobnego aparatu jak na stacyi wysyłającej i naświetlają obracającą się na walcu szklannym czułą błonę. Siła światła pozostaje jednak w związku z prądem, przechodzącym przez selen stosownie więc do światłocieni telegrafowanej fotografii.

Po zbudowaniu aparatu prof. Korn pracował długo nad jego ulepszeniem, zwłaszcza, że przesyłanie pierwszych fotografii wymagało tak długiego czasu i dawało tak niewyraźne reprodukcye, iż o praktycznem zastosowaniu

wynalazku nie było prawie mowy. Dopiero w ostatnich czasach udało się Kornowi zbudować nowy model, który bardzo ostro przesyła fotografię, cały zaś proces przesłania trwa tylko kilkanaście minut. Paryska „L'illustration“ pomieściła w ostatnim numerze kilka fotografii, telegrafowanych aparatem prof. Korna, które w całej pełni wykazują doniosłość wynalazku. Wprawdzie i teraz jeszcze nie udało się uniknąć śladów ruchu rotacyjnego przesyłanej fotografii, ale podobieństwo rysów jest zupełne.



Szczęście matki.



J. ALESSON.

Wart pałac Paca...

(Humoreska).

Jarząbek faszerowany aromatycznymi truflami zakropiony wybornem winem, wprawił w doskonały humor pana Lanrichy, który siedząc na kanapie w pierwszorzędnej restauracyi w Paryżu, przeglądał się z upodobaniem w zwierciadle, bo ono nie przestawało mu mówić: „Bardzo dobrze dziś wyglądasz, niktby nie przypuścił, że masz już lat pięćdziesiąt, oko ożywione, wesoły uśmiech, ruchy młodzieńcze, wymalowany jesteś, odświeżony sztucznymi środkami, ale przysięgam ci, że tego nie widać.“

Zelektryzowany temi pochlebstwami, nalewa sobie Lanrichy jeszcze jeden kieliszek wina, płaci rachunek, wstaje rozpromieniony i wychodzi, pomrukując: „Ona mi się podoba, odwiedźmy ją.“

Kto ona?

Zaraz się dowiecie.

Wskoczył do powozu, lokaj zatrzasnął za nim drzwiczki i elegancki ekwipaż potoczył się szybko dzięki przywilejowi, jakim cieszą się nienumerowane powozy, przywilejowi, który pozwalałby panom rozbijać przechodniów, gdyby ci panowie nie mieli rozumnych woźniców...

Zamyślił się nasz znajomy. Jego wielkie, szeroko otwarte oczy nie widziały nic, nawet sprawiających zawrót głowy latarń gazowych.

— Niegdyś de Foy — monologował pan Lanrichy — kojarzył świetne małżeństwa; dlaczegóżby i mój agent nie miał mi wyszukać perły... Pięćdziesiąt lat, to prawda, ależ ja młodszy jestem od dzisiejszej młodzieży, wyglądającej na sześćdziesiąt... Jestem bogaty... Ona także ma majątek, tak przynajmniej mówi... Mieszka na bulwarze Hausmana... to już jest dowodem... Wdowa, tak mówi... Nie wiedzieć, od jak dawna?... Przyznaje się do trzydziestu ośmiu lat. Co robiła od szesnastu do trzydziestu ośmiu? Co za przepaść!... Nareszcie, może to jaka ofiara miłości... Miała już czas zrehabilitować się... Podoba mi się... Widziałem ją wprawdzie tylko przy świetle lampy... A może ma pożółkłą skórę, brrr! brzydzę się żółtej skóry... Założyłbym się, że palnę głupstwo... Będę grał w otwarte karty — tem gorzej.

Powóz stanął przed jednym z domów na bulwarze Hausmana. Ładny dom, z wszelkiemi wygodami: gaz, woda, telefony na wszystkich piętrach, winda... Rzucił niedopalone cygaro za trzy franki i zadzwonił. Pokojówka, bez zarzutu, wprowadziła go do eleganckiego, ale ciemnego, nie bardzo nadającego się do przedmałżeńskich badań, salonu.

Po dość długiem oczekiwaniu ukazała się pani domu z lornetką w ręku. Była to wysoka, chuda brunetka, wieku nie dającego się określić, uśmiechnięta, a równocześnie poważna, niby guwernantka, która się obawia podejścia.

Czy mamy stenografować tysiączne fortele, podstępne pytania jednej i drugiej strony, pozostawiane bez odpowiedzi; domyślniki, dwuznaczne słowa? Nie.

W najpracowitszej fazie dialog został przerwany ukazaniem się w salonie gibkiego, jak trzcina, a tak słusznego, że głową prawie sięgał sufitu, młodego blondyna, który w milczeniu przesunął się przez salon.

— Mój syn — rzekła pani domu.

— Ładny chłopiec — powiedział pan Lanrichy — a jaki dyskretny...

Pokojówka podała herbatę, która rozgrzewając żołądek, podniecała rozmowę. Lanrichy zaczął się domyślać żółtej skóry i klął w duchu.

— Dajmy pokój komplementom, łaskawa pani — rzekł — grajmy w otwarte karty.

— Najchętniej — odpowiedziała dama — to będzie lepiej.

— Ile pani ma rocznego dochodu?

— Czystego, czystego... mam...

— Przepraszam, poburzyły się pani włosy...

— Co takiego? Proszę mówić głośniej, słuch mam cokolwiek przytępiony.

Podniosła prędko rękę do włosów, ale nieszczęsna bransoleta zaczepiła się o nie i sprawiła, że cała fryzura znalazła się na ziemi.

— Karty na stół! — zawołał Lanrichy — zdejmując z głowy swoją perukę i kładąc ją na stoliku.

— Pan jest szlachetny.

— Czyż umowa, którą zawieramy nie wymaga tego?...

Nadrabiając miną, odmieniał w myśli: Ona mi jest wstrętną, ja jej jestem wstrętny, jesteśmy sobie wstrętni.

W tem, zbudził się młody kot, który spał dotychczas na dywanie, i zaczął drapać po nodze od fotelu. Dama się schyliła, ażeby go odpędzić i równocześnie słychać było, jak jakiś lekki przedmiot spadł na posadzkę. To oko nieszczęsnej wypadło.

— Karty na stół! — zawołał znów wesoło Lanrichy — oko za oko!

I zręcznym ruchem wydobył z oczodołu takie samo oko, które, podobnie jak tamto, potoczyło się po posadzce, ku wielkiej uciesze kota. Dama nie mogła powstrzymać wybuchu szalonego śmiechu, wśród czego wyskoczyła jej z ust szczęka.

— Tym razem ząb za ząb! — zawołał coraz więcej rozbawiony Lanrichy.

I wyrwał sobie z ust dwa połyskujące rzędy zębów, kładąc je z komiczną przesadą obok peruki na stoliku.

W tej chwili kot zaczął się bawić z dwiema półkulami, zapomnianemi przez nieuwagę na kanapie. Były to fałszywe wdzięki.

— Uważam się za pokonanego, — rzekł Lanrichy — nie mogę już dostarczyć rymu!

Po tych decydujących doświadczeniach, spojrzeli oboje po sobie, odczuwając nagle wzajemną odrazę. Gość rzucił się na swoje skarby, schował je spiesznie do kieszeni, ukłonił się możliwie najniżej i zniknął.

Dama, oszołomiona tą niezwykłą sceną, zbierała swoje sztuczne dodatki i naraz, wydała okrzyk:

— Zamienił mi szczękę!

Pobiegła do drzwi, ale już było za późno. Powóz był daleko, a Lanrichy, skulony w kącie, monologował znów:

— Co za szkoda; byliśmy stworzeni, aby się rozumieć!

„Śmigus.“



Kochaj ludzi, a nad wadami ich lituj się.

Z dumań zimowych.

Poczerniały złote łany
Jak ten nasz ci los.
Już nie szumi ociężały
Na nich bujny kłos
Karmiciel,
Na nich bujny kłos...

Jeden wicher jeno hula
Gwiżdże, wyje, dmie...
Musi one złote niwy
Były jeno w śnie
Widziane,
Były jeno w śnie...

I te śmiechy i te blaski
Pozłocistych zórz,
Co wstawały nam tu do dnia
Z wonią kwiatów, róż
Szkarłatnych,
Z wonią kwiatów róż...

Hen pod niebem ołowianem
Szumny słychać lot:
Gna już od nas ptactwo z krzykiem
Precz od zimna, słot
Precz od zimna, słot...
Daleko,

Nic to... przyjdzie znów urocza
Wiosna w blasku zórz,
Skruszy pęta nam ciężące
Gromem swoich burz
Wszechmocnym,
Gromem swoich burz...

I rozedrze mroki nocy
Piorunnemi skry...
Precz więc smutek, precz zwątpienie!
Przyszłość dla nas lśni
Promienna,
Przyszłość dla nas lśni...

Józef Trawiński.



Polscy robotnicy.

Pod tym tytułem zamieszcza na miejscu naczelnem duński dziennik „Politiken“ uwagi, nasuwające się z powodu gremialnego opuszczania Danii przez polskich zarobników rolnych, wracających do kraju.

Oto siedm do ośmiu tysięcy od chwili ich przybycia — pisze autor artykułu. — Za cztery lub pięć miesięcy ujrzymy tu znowu tych ubogich cudzoziemców, którzy z każdym rokiem stają się niezbędniejsi dla naszego gospodarstwa rolnego. Stanowią oni większość sił ludzkich, jakich wymaga rozwój naszego gospodarstwa wiejskiego, oni to wypełniają luki, powstające w szeregach wskutek przenoszenia się ludności do innych zawodów.

Ale skoro przyznajemy, że poniekąd zależni jesteśmy od obcych sił roboczych, w naszym interesie leży, tak je traktować, aby chętnie do nas wracały. Tymczasem mieliśmy przykłady, wykazujące, że Polaków pracodawcy nie zawsze tak traktowali, jak na to zasługiwali. To też na wiosnę wielu nie otrzymało polskich zarobników, o których się zgłaszali, a rokrocznie powtarzają się wypadki porzucania pola pracy całemi grupami.

Pisano też wiele o niemożliwych umieszczeniach, koszarach wprost, w których osadzają Polaków, o walących się lepiankach, gdzie kobiety wpychają razem z mężczyznami do jednej izby. Czyż ci ludzie pierwotni, przeważnie pisać ani czytać nie umiejący nie zasługują raczej na opiekę, niż na wyzysk? — pyta autor. Jakież bolesne dla nas to współczucie!

Polska wyrobnica — brzmi dalsza część artykułu — zarabia przez cały pobyt (7—8 miesięcy) 170—250 koron, z czego sama się musi wyżywić pracując na akord około 16 godzin na dobę. Niewiele zatem wypada na dobę. Pracodawca opłaca jej podróż w jedną i w drugą stronę 35—40 kor. i daje jej mieszkanie, pościel, trochę ziemniaków i opał.

Polscy robotnicy mają sławę chętnych do pracy i zwinnych. Wyjeżdżają z domu, aby zarobić możliwie najwięcej. Czyżby więc nie należało ofiarować tym przybyszom lepszych warunków pracy: nieco większej zapłaty, a przedewszystkiem lepszego pomieszczenia? Zdaje się, że gospodarstwo rolne jest w możności ponieść taki wydatek.

A zważmy, że nietylko Dania potrzebuje obcych sił roboczych. Popyt o nie zwiększa się z każdym rokiem. Należy więc zabezpieczyć sobie dostateczne siły robocze, aby pewnego pięknego dzionka nie okazało się, że czekają chętne do wydania plonu pola, lecz brak rąk do ich uprawy.

Wdzięczni możemy być autorowi za obronę interesów polskiego zarobnika, a powtórzyliśmy jego uwagi w przekonaniu, że prowadzący układy w imieniu najmujących się do roboty skorzystają z nich w celu uzyskania możliwie najlepszych warunków pracy dla tych „ludzi pierwotnych“.

J. K.



Nasze illustracye.

Maciek Borkowicz, Wojewoda Poznański, głośny w dziejach naszych przewódzca związku, uważanego jako konfederacya. Dnia 8-go września 1352

roku, panowie i szlachta Wielkopolska, zjechawszy się do Poznania, spisali akt, mocą którego przyrzekli sobie miłość braterską i wzajemną pomoc przeciw wszelkim nieprzyjaciołom: królowi zapewnili swoją wierność, usługi, oraz obronę przeciw każdemu jego wrogowi; zrzekli się zaś bronić takiego towarzysza, któryby spełnił jaki czyn haniebny.

Borkowicz, dumny, burzliwy i namiętny, dla zaspokojenia swoich żądz, zaczął łupić i rozbijać po kraju. Napominany przez Kazimierza Wielkiego, gdy pomimo uroczystych przyrzeczeń, król poprawy w nim nie zobaczył, kiedy prócz łupieży i zabójswa popełniał, schwytany, osądzony został na śmierć straszną, bo głodową.

Z królewskiego wyroku 1358 r. wtrącony do głębokiego lochu w zamku Olsztyńskim, *) nie mając innego pokarmu jak wiadro wody i wiązkę siana, w męczarniach zakończył życie.

Obraz olejny, z którego załączamy rysunek, przedstawia chwilę, gdy po odczytaniu wyroku, Borkowicz schodzi do głębin wieży i żegna się z blaskiem dnia po raz ostatni!



Humor i satyra.

Na ulicy.

„Hola! hola! o dla Boga!
Dokąd, dokąd? — stójże Wacuś!
Co tam słychać, czy pożoga?“
„„Ale gdzież tam! puść mnie, Jacuś!
Bo zamudzę... *„panie tego.“*
Dziś u Filka jest zebranie,
Gramy prefcia tak małego —
Punkt po „groniu...“ będą panie...
Śliczne buzie, cacy! cacy!
W końcu będzie loteryjka!
Albośmy to jacy — tacy?
„Panie tego...“ Jaś bestyjka,
Sto „maruszek“ wziął mi w ćwika,
Da mi rewanż... muszę, muszę
Zasiąść z nim w preferansika,
Choćbym przegrał biedną duszę!...“‘‘
„Aj, Wacusiu! a Twa żona?....
Co tam mówi magnifika?“
„„*Panie tego*“ — obrażona!
Łaje, fuka, szlocha, krzyka....
Dziś wysłałem ją na hecę —
Do miłego! lecę, lecę!“‘‘

K. P.

* *

— Nieprawda, że tatuś znał już mamusię, nim się z nią ożenił?

— Niestety, że nie moje dziecko, po ślubie dopiero dała mi się poznać

*) Patrz artykuł w dzisiejszym numerze p. t. „Z wędrówki po Królestwie Polskiem. Powiat będziński“.

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 17-go lutego 1386 koronacya Władysława Jagiełły. — 1387 Władysław Jagiełło przywilejami obdarza Litwę. — 1574 wjazd do Krakowa Henryka Walezyusza.

Dnia 18-go lutego 1454 Prusacy składają przysięgę wierności w Krakowie. — 1577 sejm ustanawia stałe podatki. — 1634 poddanie się Moskali pod Smoleńskiem. — 1726 śmierć hetmana Adama Sieniawskiego. — 1831 rozprawa z Moskwą pod Okuniewem. —1846 rozpoczęcie rzezi galicyjskiej.

Dnia 19-go lutego 1473 urodzenie Mikołaja Kopernika. — 1578 Stefan Batory ustanawia trybunały w Piotrkowie i Lublinie. — 1594 koronacya w Upsali Zygmunta III. na króla szwedzkiego. — 1629 bitwa ze Szwedami pod Górznem. — 1613 sejm nadzwyczajny z okoliczności konfederacyi wojska. — 1831 bitwy z Moskwą pod Wawrem i Ryczywołem. — 1831 zawiązanie towarzystwa patryotycznego podolskiego.

Dnia 20-go lutego 1387 porównanie w przywilejach szlachty litewskiej z koronną. — 1494 księstwa oświecimskie i zastorskie do korony wcielone. — 1662 protestacya przeciw obieraniu następcy tronu. — 1831 początek grochowskiej potrzeby.

Dnia 21-go lutego 1544 koronacya Zygmunta Augusta. — 1569 śmierć hetmana Mikołaja Sieniawskiego. — 1574 koronacya Henryka Walezyusza. — 1613 Maryna Mniszchówna utopiona przez Moskali.

Dnia 22-go lutego 1382 założenie Częstochowy. — 1387 chrzest Litwy. — 1607 odnowiony rokosz Zebrzydowskiego.

Dnia 23-go lutego 1766 śmierć Stanisława Leszczyńskiego. — 1820 śmierć poety Felińskiego. — 1834 śmierć jenerała Samuela Różyckiego.

Logogryf.

Ułożył Jan Badura z Rożdzienia (Górny Śląsk.)

Z następujących sylab:

a, a, a, a, an, cy, der, do, dolf, drzej, dy, e, ge, gna, go, go, i, ich, in, ko, knia, ksan, le, lec, lew, lu, ma, mie, nat, nie, nie, pac, ro, ro, ry, ryk sar, ski, szen, ta, zor, źnin, źno, — ułożyć 16 wyrazów, których początkowe i końcowe litery czytane z góry na dół dadzą imiona i nazwiska dwóch posłów polskich w parlamencie niemieckim.

ZNACZENIE WYRAZÓW:

1. miasto handlowe nad ujściem Donu.
2. ataman kozaków.
3. imię męzkie.
4. miasto w Galicyi.
5. bohater z pod Samo-Sierra.
6. sekta niedowiarków.
7. nazwisko kanclerza Litwy z 17 wieku.
8. zaimek wskazujący.
9. imię męzkie.
10. miasto w Poznańskiem.
11. imię męzkie.
12. imię męzkie.
13. inaczej Polak.
14. poeta polski.
15. prawo obywatelskie.
16. imię męzkie.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 23-go b. m.

Rozwiązanie szarady z nr. 4-go:

Napiwki.

Dobre rozwiązanie nadesłali: pp. Maksymilian Maliński z Poznania — Wildy. Irena Szałkowska z Kozłowa pod Trzemesznem, Józef Szymanowski z Klotyldowa pod Margoninem, Marya Zborowska z Andrychowa (Galicya) oraz Adamina Drecka z Miłosławia w następującym wierszyku:

Dobra zupa *piwna* z jajem,
Gdy mróz srogi zetnie kości;
Pił Zagłoba swym zwyczajem
I polecał ją Jejmości.
Nad płomieniem woda, mleko
Nieraz *kipi*, gdy kucharka
Obowiązki biorąc lekko —
Patrzy gacha zamiast garnka.
Wstrętne zwykle są *napiwki*
Tym ,co w Nowy Rok je dają,
Kominiarze, stróże dziewki
Z przyjemnością odbierają.

Nagrodę otrzymali: pp. Maksymilian Maliński z Poznania, Józef Szymański z Klotyldowa i Adamina Drecka z Miłosławia.

4)

Tadeusz Rejtan.

Wspomnienie historyczne.

(Ciąg dalszy.)

Tak Moskale i Niemcy zamącili w Polsce naszą zgodę, miłość bratnią, tak wyszukali ludzi chciwych na złoto, ale nie łatwo Rejtanowi teraz nawrócić do zgody i pracy uczciwej.

Posłowie zebrani są w sali, ale żadnej pracy nie poczynają, bo nie ma zgody na wybór marszałka. I czas darmo mija i darmo Rejtan przemawia z zapałem...

Idą ci, którzy są posłami nie Polski, ale wrogów.

Wtedy Rejtan jakoby z rozpaczą rzuca się na progu sali, rozkrzyżowuje ręce i woła:

— *Zabijcie mnie! zdepcie mnie!... ale nie zabijajcie Ojczyzny! Chyba po moim trupie ztąd wyjdziecie, chyba zdepcecie to łono, które się zastawia za waszą cześć i wolność! Nie idźcie!... błagam was i wzywam przez miłość wolności i szczęście narodu — nie idźcie! nie idźcie!*

„Położył się w progu
„Szablę w ręku gniecie,
„Chyba, że po moim trupie
„Do zdrady dojdziecie!"

6.

Sześciu!

„Leży Rejtan w progu,
„Cisza trwa na sali,
„Bledną pany senatory,
„Stronniki Moskali".
(*Sawa.*)

Na progu leży...

Leży blady, zdyszany, z rozpalonymi od gorączki ustami...

Leży z obnażoną piersią, z rękoma rozkrzyżowanemi.

On, Litwin nieustraszony i nieugięty, który chce piersią swą Ojczyznę zastawić, który chce sercem swem naród ratować.

— Nie idźcie!... — woła jako żebrak miłosierdzia wzywający.

A w sali dzieje się coś dziwnego.

Ci, w pudrowanych włosach, w atłasowych, opiętych szatach, ci, w koronkach i trzewikach z złotymi klamrami, ci cofają się od progu, na którym leży Rejtan i z gniewem, oburzeniem patrzą na bohatera, zastępującego im drogę.

Lecz ci, którzy jeszcze po francusku się nie przebrali, którzy jeszcze nie zamienili kontuszów i żupanów na atłasowe, krótkie fraczki, którzy jeszcze karabel polskich nie przekuli na cienkie szpady zagraniczne, ci oto z rozrzewnieniem na Rejtana patrzą i czują, że zostać tu powinni, że z sali im wyjść się nie godzi.

Lecz tych garstka... a tamtych wielu...

— Nie idźcie!... — woła Rejtan, leżąc w progu...

— Nie idźcie — szepce echo od ścian wspaniałej sali sejmowej.

Mija chwila.

Kto też pierwszy odważy się przejść przez pierś Rejtana?

Kto też pierwszy zasłoni oczy na ten bolesny widok i przejdzie przez obrońcę wolności, jak przez głaz, deptany stopą wrogów?

Czekajcie Polacy... Litwini czekajcie... nie idźcie, bo imię wasze zapisze historya na czarnej karcie zdrady, bo w długie wieki będą się dzieci lękać waszego cienia jako widma pohańbienia i zdrady.

Czekajcie posłowie wielkiego, smutnego sejmu, nie wychodźcie, bo o was kiedyś lud szeptać pocznie i powie żeście byli niegodnymi synami Polski...

Ten jeden, siwowłosy poseł łzy ociera, tamten zasłonił oczy, patrzeć nie może na ból i cierpienie Rejtana...

Ale inni gniewni i zniecierpliwieni cisną się ku drzwiom.

— Wstań pośle Rejtanie, nie zatrzymuj nas w progu... za to wszystko co czynisz Imperatorowa gniewać się pocznie.

— Idźmy! i nie zważajmy na nic, woła Jacek Jezierski i pierwszy przez Rejtana przestąpił.

Przeszedł tak jak przez trumnę postawioną w drodze.

Za nim ruszyli inni.

Ani im serce drgnęło na widok zbolałego człowieka błagającego o litość nad Ojczyzną. Ani im czoło nie zapłonęło wstydem, iż popełniają czyn niegodziwy...

— Nie idźcie! — szepnął jeszcze raz Rejtan, ale nie zważali.

— Nie idźcie! — szeptał z sali jakiś głos drżący i wzruszony, ale nie słyszeli.

Szedł jeden po drugim.

Najpierw ci, co byli najwierniejsi moskiewskim dukatom, potem ci, co bali się moskiewskich bagnetów, potem ci, co nie wiedzieli, iż depcąc Rejtana zabijają wolność w narodzie.

Zostało już tylko 16-tu!...

Tylko tylu na stu-dwu posłów całego sejmu. Tylko 16-tu...

Jakaż to mała garstka szlachetnych ludzi znalazła się w pamiętnym dniu onym, dniu 20 kwietnia 1773 roku.

A jednak patrzcie i z tej garstki jeszcze poczyna ubywać, jeszcze ci, nie mają odwagi dalej pozostać

— Jeszcze i wy? — pyta Rejtan blady i zbolały... Jeszcze i wy przezemnie przejdziecie jak przez trupa, jak przez robaka deptanego stopą zdrady?

Zatrzymali się na chwilę lecz idą...

Przeszedł jeden, przeszło dwu...

Co raz mniejsza garstka...

Już tylko dziesięciu...

Tylko ośmiu...

Lecz jeszcze mniej.

Sześciu tylko wiernych Ojczyźnie zostało w sali.

Zaległa cisza do koła.

Jak po pogrzebie, jak wtedy kiedy straszny ból wszystkie słowa na ustach zamkniętych zatrzyma, kiedy rozpacz już wszystkie łzy pod powieką wypali.

Podnieśli zmęczonego Rejtana.

Nie mówił nic — zdawało się serce mu zamiera z bolu.

— Chodź odpocząć trzeba, proszą go.

— Nie wyjdę z tej sali.

Jadwiga z Łobzowa.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



KAZIMIERZ GLIŃSKI.

13

GADY.

POWIEŚĆ Z XIV WIEKU.

I tak pan Święca, od swoich i obcych opuszczon, w leśniczówce pozostał, walcząc z okrutną niemocą swoją, wciąż widząc śmierć przed sobą i odganiając ją precz. Zła febra jakaś go trapiła i pozbawiała zmysłów, pamiętał jeno, że wnuk jego Jaśko, syn Piotra, pana niegdyś „na grodach dziewięciu,“ jak go stare kroniki mienią, kanclerza i starosty całej ziemi pomorskiej, nieżyjącego już — daleko gdzieś w ziemi frankońskiej bawił — i rycerskiego rzemiosła na dworach królów i książąt możnych uczył się.

Słał więc po niego, niegdyś rotmistrza gdańskiej chorągwi swojej, wypróbowanego druha w dobrej czy złej doli, Lewka z Samołęk — i czekał teraz na przybycie Jaśka, któremu przekazać miał pomstę jakąś. Ale oto minęło lato kłosiste — słotna jesień nadeszła. Przy panu wojewodzie jeden tylko Jarmusz pozostał i wyżłów dwóch — inni opuścili schorzałego pana, zabierając resztę klejnotów, jakie przy sobie miał. Nie przepuszczono ni pasom, ni szablom sadzonym, złote guzy nawet od żupana wyrwano — tak, że w onej leśniczówce, jako nędzarz ostatni pozostał, pod opieką Jarmusza i dwóch psów jeno, z szkieletem wychudłym, z rzężeniem w piersi, z męką konania i niemożnością śmierci.

Wiedzieli ludzie okoliczni, kto w onej dogorywa chałupie — i litości nad nieszczęśnikiem nie mieli.

— Rodzony kraj Niemcom zaprzedałeś!... masz-ci teraz panie Święca nagrodę za niepoćciwość twoją!... — mówili tak kmiecie i niekmiecie.

I nie zachodził nikt do opuszczonej wśród lasu chałupy, ostawiając ją jako zapowietrzoną na boku, a kto nocą zabłądził tu przypadkiem, to jeno splunął i odszedł, a jeżeli ktobądź z umysłu do niej przydybał, to jeno po to, by starego Jarmusza wywołać i spytać:

— Żywie jeszcze — czy zdechł?

A co ludziom, że ciało drga męką konania okrutnego, że rzęży pierś, że czoło krwawym oblewa się potem, przed zbielałemi oczyma strach staje?... Nie im litować się nad psem takim — to już Pana Jezusa rzecz i Matki Jego Przenajświętszej. Jeno baby niektóre w sercach swoich zlitowanie czuły. Wymykały się z sadyb po cichu i warzywo różne abo i skopek mleka przynosiły ukradkiem. Miększe zawżdy od chłopów są, ale choć ono wymykanie się nie uszło gospodarzy uwagi, nie mówili im nic: wżdy to niewiasty pomoc niosły. I oto zadość robiło się przykazaniom boskim i zaciętości ludzkiej: oni, jako się godzi, sobaczyli — niewiasty ich czyniły, jako Pan Jezus nakazywał. Czasami ten i ów, wracającą z lasu małżonkę, niby od niechcenia, zapytał:

— A jakże tam?

— Żywie jeszcze — odpowiadała półgłosem, co w podziw ludzie krześcijańskich wprawiało.

I poszła wieść pomiędzy ludem, że pan wojewoda dawnoby już duszę Bogu oddał, gdyby nie czart nad nią czuwający, który przyczajony przy łożu siedzi i czeka na zdobycz swoją. Dusza, nie mogąc znieść męki cielesnej, gotowaby już wyjść z doczesnego mieszkania swojego i Panu Jezusowi pod jego sprawiedliwy sąd się oddać, ale jak jeno wyjrzy na świat Boży, wnet czart się do niej bierze, a łapy wyciąga, że musi kryć się, biesa rogatego bojąca się, i trapić ciało nieszczęśliwe ciągłem onem odrywaniem się swojem.

Smutne dni spędzał Jarmusz, na krok nieodstępujący pana. Latoś, to jeszcze słońce niebieskie grzało i jakie takie rozweselenie mógł znaleść w ptaszkach śpiewających i lasów zieleni. Ale gdy jesień nadeszła, dni chmurne, noce długie, gdy okrom poświstu wiatru i rzężącej nieustannie piersi konającego, głosów innych nie słyszał: taka to tęsknota a smutek w kleszcze swoje brały, że nieraz stawał nad panem wojewodą i mówił do niego w rozpaczy:

— Abo ty, abo ja, miłościwy mój — bo już nie strzymam dłużej!...

Jak mógł i czem mógł pozatykał otwory w oknach, mimo to wiatr wlatywał do wnętrza i chodził po izbie, niby gospodarz jaki; tu na podłodze pył zamiótł, tam dmuchnął w piec na pół zrujnowany i rozżarzył ognisko przygasające. A na dobitek nieszczęścia pódźka zagnieździła się gdzieś w dachu i puhacz skądeś przylatał...

— Pu-hu! — odzywało się co nocy.

— Pódź — pódź — pódź!... — wołał natrętnie ptak drugi.

— Słyszycie, wasza miłość, jako tam przemawiają do was?... Dalbóg, że czas już, a to męczycie się po próżnicy!...

Pan Święca słyszał ono wołanie okrutne, rozumiał, co Jarmusz mówił — wewnętrzny strach czuł, a dźwignąć się nie mógł, ni runąć w grób.

Leżał nieruchomy, skronie zapadnięte miał, w dwa rysujące się talary — i rzężył okrutnie. Biała broda rozlewała się po piersi, przez mękę, w głąb wtłoczonej; oczy przymknięte, na twarzy słał się całun biały zbliżającej się śmierci. Od dwóch dni nie mówił już nic, jeno palcami bezmyślnie poruszał, naciągając na siebie strzępy okrycia, jakby zimno czuł — dreszcz przejmujący. Czasami martwa cisza zalewała tę izbę smutną, pierś przestała grać, palce bielały i nieruchomie opadały na łono. Wtedy Jarmusz oddychał lżej, a psy z niepokojem patrzyły. Widoczna trwoga śmierci malowała się w ich oczach.

Tak było i teraz.

Cisza — jeno szum wichru na dworze... ogromna, nieruchoma postać wojewody... pierś sługi starego, oddychająca lżej i psów trwożne oczekiwanie.

— Śmierć!... — mruknął stary. — Juści, że śmierć!

Wśród psów niepokój.

Na chwilę nawet wiatr przycichł, najmniejszy liść na zeschłym konarze nie zaszeleści... Milczy wszystko, jakby w oczekiwaniu groźnem gościa strasznego.

Nagle pan Święca się porwał — na ramieniu się wsparł, blask wszystek, jaki jeszcze w oczach miał swoich, w ostatnie już może spojrzenie zebrał, i głosem wielkim krzyknął:

— Jarmusz!...

Psy zaskowytały — stary do łoża przypadł...

Słyszysz?...

Jarmusz wytężył słuch.

— Tętent koni... szczęk mieczów... Ziemia gra od szybkiego uderzenia kopyt... drży... dudni...

Stary poruszył głową.

— To wam się tak, mój jegomościu, przed śmiercią wydaje... Umierającej babie jednej, przed samem zgaśnieniem muzyka grała i dzwony biły — a później i bies z za węgła się pokazał i pośladkiem na piersi usiadł. Nie dziwota, gdyby i wam mara jakowa się pokazała, choćby i sam belzebub, na ten przykład.

Święca wypatrzył się i dźwigać się począł, jakby chciał wstać...

— Nie mocujcie się, mój miłościwy — i sił na próżno

nie traćcie... Potrzeba wam ich będzie na skuteczniejsze skonanie — pocieszał Jarmusz.

Wojewoda załkał.

— Śmierć... a Jaś powraca!... Jaś wraca a tu... śmierć!... Jarmusz!... pamiętaj... Pomsta... król. — Na krzyż niech przysięgnie... Panie, w ręce Twoje...

Runął. —

Po ciele przebiegł dreszcz, obłok szary twarz okrył, jakby pyły rozsypały się po niej... Wywróciły się białka oczu, dolna szczęka opadła — i pan Święca do ojców poszedł, nie wiedząc nic, jako przez nich przyjęty będzie.

Zaledwie śmierć zawarła pana wojewody powieki, jak psy przerażone wyć zaczęły, a wichr z mocą dawną w okna uderzył. Ryknął i Jarmusz płaczem wielkim, szloch swój łącząc z wichrów poświstem i psów zawodzeniem okrutnem.

Wtem otworzyły się drzwi izbicy... Oczekiwany Jaśko wbiegł — a za nim pazik i Lewko poskoczyli.

Poznał ich Jarmusz — lecz podejść i powitać sił nie miał. Ruchem ręki wskazał na łoże, na którem leżał trup wojewody, wyciągnięty, jak struna, niemal przerażający ogromem swoim.

Młody rycerz, syn Piotra kasztelana, Jaśko Święca, spojrzał na martwy zwłok dziada a później oczyma po izbie powiódł, przepełnionej gwarem wichru, psów bolesnym skowytem, nędzą opustoszenia i zapomnieniem okrutnem. Z pod rogoży cuchnącej i wilgocią przesiąkłej wydobywały się kosmyki słomy przegniłej; zgrzebna koszula na trupie w liche strzępy się rozpadała; ni ksiądz za dusze umarłych modlitwy mówił, ni dziad, jako zwyczaj każe, pieśni zawodził — jeno gwizd wichru, puszczyków żałobny śpiew i ono rozdzierające psów wycie!...

Jaśko, jak senny stał i patrzał. A coraz groźniejszy, a coraz straszniejszy wydawał mu się ten psów lament w onej pustce leśnej, w tem zupełnem od świata odosobnieniu.

— Tak-że to w Polsce wojewodowie umierają!... — wybiegło z piersi rycerza.

Kolana mu się ugięły — padł na klęczki.

Nie szlochał, nie płakał... Pacholęciem był jeszcze, gdy dziada po raz przedostatni widział. Później po obcych krajach się włóczył, przebywał na dworach książąt i królów, zrazu jako pazik, potem jako dworzanin, pasowany rycerz wreszcie, niejednym laurem czoło swoje zdobiący. Polski prawie nie znał, choć wiedział, że ojczyzną mu była. O śmierci ojca kasztelana dowiedział się we Francyi dalekiej. Smucić się nawet nie mógł, tak mu czas zabierały boje i zapasy rycerskie, a nie mało do tego i powabne uśmiechy ust niewieścich przyczyniły się. Dopiero Lewko z Samołęk, ów poseł dziadowski, wyrwał go z tego snu na jawie. Pan wojewoda go wzywał — miał testamentem coś przekazać, rzecz ważną i ciężką zarazem.

Przybył — i zastał trupa.

Lepiej w dębowej trumnicy, niż na łożu onem było panu wojewodzie gdańskiemu. Jarmusz należycie w niej posłał, zeschłem chmielem zwłoki przesypał, dwie składki nad głową zapalił, krzyżyk z piersi swej zdjęty do rąk umarłego pana włożył.

Zaduch w izbie nie pozwolił w niej długo młodemu rycerzowi być. Ale zaledwie próg chałupy przestąpił, jak z cieniów nocy wypłynął orszak jakiś i opodal, pomiędzy drzewy się zatrzymał. Od orszaku odłączył się mąż rosły i podjeżdżając do stojącego przed chatą Jaśka, rzucił, jakby od niechcenia:

— Zdechł już ten pies — hę?... bo słyszę, że psi wyją!...

Jaśko skoczył, jakby go zły gad ugryzł.

— O kim to mówisz... zbóju nocny!... — zgrzytnął. Zacisnął pięści, aż w stawach chrupnęło.

— A ty kto żeś tak syknął, jak żmij na chwost nadeptany?...

— Wnuk umarłego!...

Nieznajomy pochylił się...

— Święca?!... pfuj!... — odpowiedział i odjechał od stojącego rycerza, w mroku leśnym kryjąc się z drużyną swoją.

— Umykasz, tchórzu!... — zawołał Jaśko...

Głaz porwał i cisnął w ciemność...

— Cha — cha — cha! — zaśmiał się nieznajomy.

— Ktoś jest, bym mógł się spotkać z tobą i to plunięcie i te słowa bezecne w gardło ci wrazić?...

— Wińcz Szamotulski!... — odpowiedziano z oddalenia.

— Zapamiętaj głos mój — krzyknął Jaśko — bo twarzy nie widzisz!...

Znowu śmiech i oddalający się tętent koni.

Elżbietka sama nie wie co mówi.

Jako na jeziorze wodne koliska, choćbyś kamień po środku rzucił, rozkrążą się szybko i nieraz do samego brzegu dotrą — z prędkością taką i wieść o śmierci wojewody rozbiegła się po okolicy całej. Gdy żyw był, nie pamiętał nikt o nim; jeśli kto wspomniał, to z przekleństwem jeno i pięści zaciśnięciem — dopiero gdy poszedł na wieczny odpoczynek po takiem wielkiem mocowaniu się z żywotem; gdy śmierć, wijąca się u płotu, za gardziel go chwyciła i nieroz proszoną noc położyła na oczach: wtedy rozwiązały się gęby ludzkie i okrutne poszło gadanie o nieboszczyku. Nie było w onych wspomnieniach żalu ni litości nijakiej, na niczyich oczach nikt śluzy jednej nie zobaczył, ale zawżdy to ten to ów zauważył, że — choć bez obrazy boskiej można go było na stryk wziąć i obwiesić — jednak gdy słabość, przy starości niedołężnej, zwaliła go w leśniczówce, godziłoby się ludziom litościwym jakiś opatrunek mu dać, kiedy niekiedy strawy ciepłej przynieść, nie ostawiając tak starego bez opieki żadnej, li tylko na głowie skłopotanego Jarmusza. To też jeden i drugi z gospodarzy wiejskich, dla ułagodzenia sumienia, przypominał sobie , jako jego niewiasta litowała się nad nieszczęśnikiem i to grochu, to kaszy do leśniczówki zanosiła, a raz nawet kuraka całego, a może i dwa — i tak jakoś wyszło, że pan Święca nijakiej biedy nie cierpiał, we wszystkie dostatki opływał i jeno wdzięczność powinien mieć za opatrunek niezasłużony. Mówili tak, miłosierdziu swojemu sami nie wierząc, ale gdy baby poswarzyły się, o hojności swej prawiąc, rzetelna prawda na wierzch wyszła, i pan Święca niewiele z onych darów widział, a o kuraku to chyba w przedśmiertelnej godzinie zamarzył. Oczywiście, że chłopy temu winne były, powstrzymując w ofiarności niewiasty swoje, a z tego znów wyszło, że niegodnik nie wart był wspomnienia ludzkiego i powinien tak zczeznąć, jako zczezł, jadła ni napoju niemający. Tedy i na to, dla ułagodzenia sumienia, zgodzili się odrazu — i już te niewiasty nawet, które grochu i kaszy do leśniczówki przynosiły, musiały się wyprzeć miłosierdzia swojego, kiwały jeno głowami i dziwowały się, że taki możny pan niegdyś, w takiem opuszczeniu a zapomnieniu umierał.

(Ciąg dalszy nastąpi).

